

w świat ruszył
znad „Pisy,
Wissy i Narwi”



6
mały Szu



z czym do
wyborów? 8-9



łomżyńskie
czter-
dziestolecie



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

20

(188)

KONTAKTY
20 V 1984

cena
10 zł



**MIKOŁAJ
NAWRA**

**OAZA
kaktusów**

Dwunastego kwietnia inżynier Zygmunt Grygo zamierzał kropnąć po robocie głębszego. Tak na pełnym luzie. Niestety, przypomniał sobie o tym o dwudziestej trzeciej z minutami. Osiemnastą rocznicę dyrektorowania w jednej firmie — najpierw jako zastępca, potem naczelny — zamknął na sucho. Poszedł spać. W taki dzień powinien mu się przysnąć kaktus jak baobab wyrastający z dłoni byłego dyrektora byłego Zjednoczenia. Ale się nie przysnił.

CIĄG DALSZY NA STR. 7-8

JUTRO dostrzeżone

Jakże często zwykła gnuśność wrywa nam z rąk szansę. Niechęć do zabrania głosu, niewiara w jego skuteczność — powracają później falą niezadowolenia. Łomżyniacy słyną z ukochania swego miasta. Kształtuje się właśnie plan rewaloryzacji i rozwoju Łomży. Na początek — zachęcając również innych do wspólnej debaty — oddajemy głos Stanisławowi Dębowskiemu.

CO REWALORYZOWAĆ?

W odniesieniu do Łomży nie jest to pytanie tylko retoryczne. Rewaloryzacja — znaczy dosłownie: przywrócenie kiedyś istniejących, a później utraconych lub uszkodzonych wartości. Na przykład, gdy podjęto odbudowę warszawskiej Starówki, z góry było wiadomo, co i jak należy odtworzyć i dostosować do współczesnych wymogów.

Ale z dawnej Łomży nie prawie nie ocalało, oprócz katedry i nielicznych szczątkowych relikwów dawnej zabudowy. Ponadto przedwojenna zabudowa śródmieścia Łomży nie posiadała — poza nielicznymi wyjątkami — wartości użytkowej, a tym mniej artystycznej czy zabytkowej. Wystarczyłoby chyba, okazując szacunek dla historii, jedynie zachować ocalałe, a jeszcze posiadające pewną wartość fragmenty i na tym poprzestać.

Jednakże ślad dawnej — i to bardzo dawnej, bo średniowiecznej — Łomży ocalał i żyje nadal w urbanistycznej koncepcji starego grodu, w siatce jego ulic, w rozmieszczeniu rynków, kościołów, ratusza, a podkreślić trzeba, że i dziś dobrze to służy miastu.

Nieudolne próby poprawiania tej logicznej konstrukcji, jakie podjęto po wojnie, przyniosły więcej szkód niż pożytku.

Ale najważniejszą przyczyną, która nakazuje podjąć jak najszybciej rewaloryzację tej części miasta, jest widoczna gołym okiem wielka licza-

CIĄG DALSZY NA STR. 5



W ŚWIATŁE RUSZYŁ ZNAJOMY „PISY, WISSY I NARWI”

niejszych. Był jednym z redaktorów nielegalnego pisma uczniowskiego „Trójkąt Literacki” (zamieścił tu m.in. artykuł o historii Łomży), w klasie IV — członkiem tajnego kółka „Przyszłość” (bojkot galówek, czyli nabożeństw w dniach świąt rządowych), a w klasie V już organizacji „X”. Klasę VI zaczął w nowym gmachu gimnazjalnym (obecnie zajęty przez „budowlanych”). Zmieniali się koledzy, zmieniali i kwatery, pozostawali jednak wierni przyjaciele (m.in. Piotr Bańkowski). Przybywało wiedzy, kształtowały się charaktery („życie nasze było nastrojone na wysoki, czysty ton i wszystkim nam było z tym doskonałe”). Młodzi konspiratorzy przeżyli gorzkie pierwsze „wpadki” i radość jednania nowych sojuszników. Gimnazjaliści nawiązali kontakty z „cywilnymi” przywódcami Narodowej Demokracji w Łomżyńskim, a maturzysta Bohdan i ze środowiskiem studenckim Uniwersytetu Warszawskiego. Napisał pierwszą korespondencję do lwowskiej „Teki”, przewodził kolegom w szkole. W 1903 r. ruszył do Warszawy z 16 rublami w kieszeni. Chciał zostać prawnikiem.

Nie wrócił już Winiarski na stałe do Łomży, ale przecież był obecny tu myślą, utrzymywał liczne kontakty z rodakami, pomagał im, gdy zaszała taka potrzeba, zachował do brzo w pamięci czyny, myśli i marzenia z lat spędzonych nad „Wissą, Pisy i Narwią”. Pewnie nie raz poprawiali mu te wspomnienia samopoczucie podczas studiów w Warszawie i Krakowie (gdzie uzyskał doktorat), Paryżu i Heidelbergu, w toku podróży po Rosji w latach I wojny światowej, w wyjątkowej pracy w charakterze radcy prawnego polskiej delegacji na konferencję pokojową. W II Rzeczypospolitej był profesorem i członkiem wielu stowarzyszeń oraz instytucji prawnych, częstym uczestnikiem obrad Ligi Narodów. Został nam z tamtego okresu książka i artykuły Bohdana Winiarskiego. Pisał o ustroju politycznym ziem polskich w XIX wieku („W budownictwie państwowym wyraża się geniusz narodu w stopniu wyższym jeszcze niż w twórczości artystycznej lub spekulacji filozoficznej”), kwestiach bezpieczeństwa, arbitrażu i rozbrojenia („Pokój nigdy nie jest pokojem abstrakcyjnym, samym w sobie, oderwanym od konkretnych stosunków. Jest zawsze jakimś pokojem, jest niezmiernie trwałym ustalonych stosunków międzynarodowych, które mogą być zgodne z poczuciem prawnym ludzi lub z nim sprzeczne, dobre lub złe, pomysłyne lub

szkodliwe [...]”), o „obronie koniecznej” (myśl Clemenceau z 1930 r.: „Zapytuję, czy istnieje naród, od którego istnieją narody i wojny, któryby prowadząc kiedykolwiek wojnę, nie dowodził, że prowadzi wojnę obronną?”). Tłumaczył Winiarski dzieła francuskie i wydawał także swoje prace w tym języku. Kilka tomów Profesora przechowuje Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wagów. Zajrzyjmy do dedykacji: „Bibliotece Łomżyńskiej ten egzemplarz uratowany od zagłady [...]”; „Bibliotece Łomżyńskiej ofiaruje uczeń gimnazjum łomżyńskiego w latach 1895—1903”.

Był Bohdan Winiarski także posłem do Sejmu i w imieniu obozu narodowego wielokrotnie zabierał głos w dyskusji nad kształtem przyszłej konstytucji. Możemy nie zgadzać się z poglądami posła, ale przeczytać te mowy warto, choćby ze względu na piękno słowa, klarowność myśli, błyskotliwość sformułowań. Oto przykłady: „Każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje i ponosi solidarną odpowiedzialność przed historią, często nie dlatego, że się z rządem dobrowolnie solidaryzował, ale niezdolny był do dania sobie innego rządu”; „Organizacja Państwa winna być organizacją Narodu. Stan cywilizacyjny Narodu naszego w XX wieku wyklucza satrię, tyranie, despotycję, absolutyzm czy państwo policyjne”; „Polska musi dla siebie rozwiązać odwieczne zagadnienie interesów Ogółu i Jednostki, Ładu i Wolności, Władzy i Prawa. Skazana na życie wśród niebezpieczeństw Polska musi być państwem wielkim i silnym”. Tak mówił zwolennik Narodowej Demokracji, dla którego „idea narodowa streszczała się w dwu wyrazach: Bóg i Ojczyzna”. Ostro zarzącał Winiarski sanację za brak realnego programu politycznego („Gdyby po przewrocie majowym sprawcy tego przewrotu dowiedli, że mieli gotowy plan działania, gdyby wystąpili z czynami i przeprowadzili naprawę ustroju tak, aby zapewnić Rzeczypospolitej spójność wewnętrzną i potęgę na zewnątrz, można by było wiele przebaczyć i wiele zapomnieć. Stało się inaczej. Bezczenną krwią polską podpisał wobec narodu straszliwe zobowiązania i dziś jest rzeczą oczywistą, że zobowiązania nie dopełnił”) i za wprowadzenie konstytucji kwietniowej 1935 r. („Każda konstytucja jest także granicą dla władzy państwowej, każdy przepis konstytucji jest szafcem, za którym może się bronić bezpiecznie prawo jednostki i wolność społeczeństwa”).

Szkoda, że nie ogłosił wspomnień z lat II wojny światowej. Jakże wiele widział, cierpiał i tworzył. Aresztowany przez Niemców w wrześniu 1939 r. czekał na śmierć jako zakładnik. Na szczęście skończyło się tylko na wywiezieniu do obozu i osadzeniu w Generalnej Guberni. Stąd przeszedł nielegalnie do Słowacji i przez Węgry trafił do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii. Został w 1941 r. prezesem Banku Polskiego. Po zakończeniu wojny wrócił do królestwa Temidy, sięgnął po godność prezydenta Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Znowu pisał i publikował, dowodził swego obywatelstwa. Przyjeżdżał i do ukochanej Łomży („Zawsze z tym samym sentymentem w mojej drogiej Łomży” — wpis z 20 września 1968), wspierał (także finansowo) tutejsze inicjatywy kulturalne, cieszył się z rozsądnych sukcesów, martwił z powodu straconych szans („Zgodne wysiłki wszystkich miłośników Łomży muszą być ukoronowane piękną odbudową z przywróceniem jej dawnego znaczenia — 17 sierpień 1963 r.”). We wstępie do wspomnień napisał: „Życzliwi zwrócili mi także uwagę, że tamte strony nad Pisy, Wisła i Narwią, nad Orzycem, Biebrzą i Bugiem były dziwnie nieobecne w odtaszanych dotychczas wspomnieniach. Niechże więc ta opowieść wynagrodzi, choć i z pewnością nieudolnie, to pominięcie, na które wielka i piękna ziemia łomżyńska nie zasłużyła”.

W 1969 r. odszedł Bohdan Winiarski, tak jak odeszło tyłu z pokoleń znakomitych łomżyńskich, zrodzonych jeszcze pod zaborami. Nie silmy się na „obiektywne komentarze” i takie oceny. To był wielki Polak z własną wizją Polski silnej i szczęśliwej. To był Łomżyński, co się zowie. Młja właśnie setna rocznica Jego urodzin.

Fot. GABOR LÜRINCZY

Dla rodowitych łomżyńskich Bohdan Winiarski to postać wręcz legendarna, przykład wielkiej kariery, a zarazem osoby taktownej, życzliwej rodakom, bliskiej. Przywódca gimnazjalistów, uczonek, trochę polityk, ktoś wierny tradycjom narodowym i katolickim. Posiadał kilkunastu biogramów w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej (bez zdjęcia): „Ur. 27 IV 1884 r. w Bohdanowie (Białostoczek), w latach 1922—39 profesor prawa międzynarodowego Uniwersytetu w Poznaniu; 1941—46 prezes Banku Polskiego w Londynie; 1946—61 sędzia Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, 1961—64 jego przewodniczący [...] autor m.in. dwóch książek”. Dla redaktorów Małej Encyklopedii Powszechnej i wszelkich słowników postać w ogóle nieznaną. Jaką miarą określić Bohdana Winiarskiego?

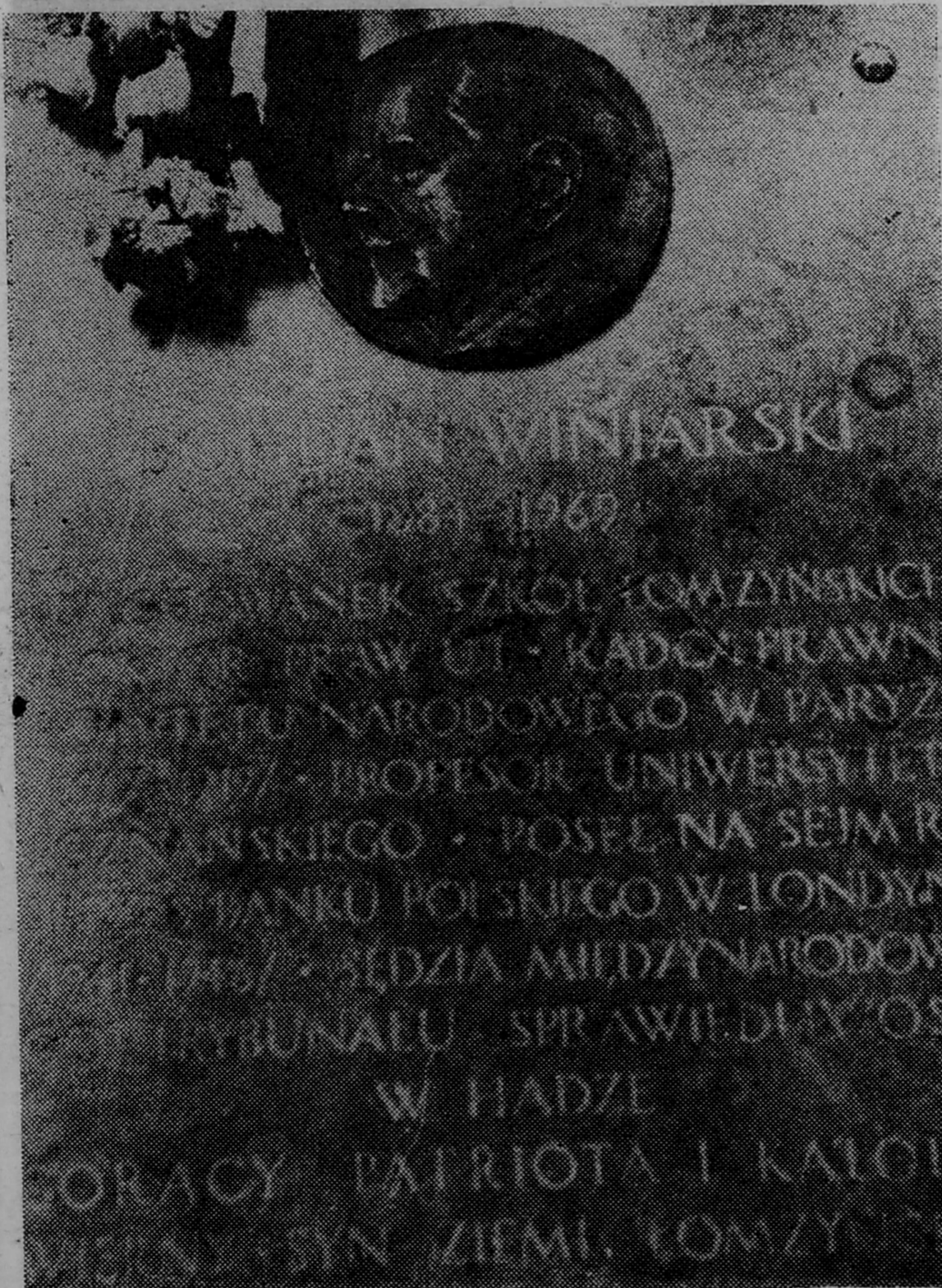
Oddajmy na początek głos bohaterowi. Za Morgownikami droga wiodła „prosto, jak strzelił, do kurpiowskiej wsi Wyk, a potem skręcając się w lewo, ku Dąbrówce; małe półmiski — i oto dom”. Właściwie leśniczówka zbudowana przez Stanisława Winiarskiego, na cześć syna zwaną Bohdanowem. Rodzinę Winiarskich łączyły więzy pokrewieństwa i szczerzej przyjaźni z wieloma znanymi rodami łomżyńskimi. Trzeba było trzymać się razem, bo czasy nie należały do łatwych. Postępująca rusyfikacja sprawiła, że i ojciec Bohdana musiał zmieniać często miejsce pracy. Mieszkał więc w Wąskim Lesie niedaleko Makowa, potem w nadnarwiańskim Różanie, krótko w Łomży przy ulicy Wiejskiej — tuż obok „starego” więzienia i w Sniadowie, osadzie różniacej się od wsi jedynie kwadratowym rynkiem i liczną społecznością żydowską (stara bożnica).

Tak trafili Winiarscy i do zabytkowego Szczuczyna. „Miasto było niespodziewanie schłodne. Duży czworoboczny rynek, z kępą drzew na środku, miał kilka piętrowych kamienic; było ich jeszcze kilka na ulicy Pocztowej; poza tym partiarowe domki murowane, ale częściej drewniane, obrzeżały proste i krzywe, ale czyste uliczki. Tu i ówdzie wśród zieleni stały drewniane dworki”.

Ileż tam mieszkało ciekawych „person”, ile było wspaniałych miejsc do zabawy.

„Sześcioro wakacji spędziłem w Szczuczynie. Wszystkie były do siebie podobne, równe i gwarne, rozbrawione, rozśpiewane. Z chłopczyka stawałem się chłopcem [...]”.

Przyszedł czas nauki w gimnazjum łomżyńskim (1895 r.). Srogi egzamin zdany wybornie, a do Lwa granatowa uczniowska czapka z białymi wypustkami i srebrnymi palemkami (tu i litery: „EG”) oraz czarne paski z mosiężnymi klamrami. Do tego jeszcze czarne spodnie i czarna bluza ze stojącym kołnierzykiem. Rodzina zamieszkała na końcu ulicy Dwornej, za Pannami (klasztorem), w domu Lipińskiego. Łomża, jak mało które miasto, „mogło się pochlubić równie pięknym położeniem i mało które miało” takie warunki, aby w rękach rzetelnych, kulturalnych i kochających gospodarzy stać się ślicznym zakątkiem „naszej ziemi”. Ale to także wówczas miasto kilku nacji, garnizonu carskiego, kontrastów społecznych. Gimnazjum mieściło się jeszcze w starym pojezuickim gmachu, gdzie nawet „korytarze miały swoją legendę”, nie mówiąc już o lochach. Belfrowie („Bumaga”, „Karalucho-wicz”), ale i pan Wilkowski od polskiego), a po drugiej stronie rzesza gimnazjalistów (wojny na kasztany, figle na lekcjach, pierwsze listy miłosne i westchnienia na balkonach, wycieczki nad Narew, gra w palanta koło cmentarza, ślizgawki). Brał udział Bohdan Winiarski także w przedsięwzięciach poważ-



zbliżenia



zawinił poragraf

W „Kontaktach” nr 11/84, pod nagłówkiem „Wieści grodzkie”, ukazała się notatka traktująca o konfliktach — wynikłych w Ciechanowieckiej Spółdzielni Mieszkaniowej — związanych z roszczeniami członków o przydział mieszkań. Niewątpliwie spory pomiędzy Spółdzielnią a jej członkami nie przynoszą splendoru Spółdzielni i należy dokładać wszelkich starań, aby ich unikać.

Niestety, literatura i zawiloci prawa nie zawsze są w zgodzie z odczuciami społecznymi, które wymuszają określony sposób postępowania. Tak było z konfliktową sytuacją powstałą w naszym wypadku.

Faktu sporu nie da się uznać za niebyły, ale niezrozumiałym jest dla nas stwierdzenie obwiniające Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych w Łomży o niedostateczne wywiązywanie się z pomocy dla naszej Spółdzielni. Zdaniem Rady oraz Zarządu Spółdzielni trudno wystawić niedostateczną ocenę Związkowi Spółdzielni Mieszkaniowych w Łomży, który swoim działaniem przyczynił się zasadniczo do powołania Spółdzielni w Ciechanowcu, a od 1981 roku, przez wielką pomoc i zaangażowanie, również do tego, że ta młoda Spółdzielnia dysponuje aktualnie zasobami liczącymi 70 mieszkań, przy czym na rok bieżący przygotowana jest dokumentacja na rozpoczęcie następnego (40-rodzinnego) budynku.

Powyższe zasadnicze fakty, bez potrzeby wliczania innych, świadczą o pełnym zaangażowaniu w istnienie i rozwój naszej Spółdzielni. Podważanie tego faktu nie służy na pewno spółdzielcom z Ciechanowca.

RADA NADZORCZA
(podpisy nieczytelne)
ZARZĄD
(podpisy nieczytelne)

igraszki chochlika

W odpowiedzi na notatkę prasową („Spiecia”, „Kontakty” nr 11/84) dotyczącą organizacji zabawy przez OSP Kobylin (gm. Piątnica), Zarząd Wojewódzki Związek Ochotniczych Straży Pożarnych w Łomży wyjaśnia, iż zajście jakie zostało opisane, nie mogło mieć miejsca, gdyż w wymienionej miejscowości nie istnieje Ochotnicza Straż Pożarna.

Wyjaśniamy również, że odznaczenia korporacyjne przyznawane są dla strażaków-ochotników za długoletnią pracę na rzecz ochrony przeciwpożarowej. Członkowie OSP, biorąc udział w akcjach ratowniczych, bezinteresownie narażają swoje zdrowie, a nawet życie.

Mgr inż. TADEUSZ JEMIELITY
sekretarz Zarządu
Wojewódzkiego Związku OSP

Od redakcji: zdarzenie to, oczywiście, nie mogło mieć miejsca w Kobylinie, gdyż chodziło o Kalinowo (gm. Piątnica). Chochlik pomieszał nazwy — poza tym wszystko się zgadza.

Mieszkańców Kobyliny, być może przyszłych strażaków, przepraszamy.

triumf rozsądku

W „Kontaktach” z 11 XII ub. roku ukazał się tekst Danuty i Aleksandra Wroniszewskich „Karbid w kaganku oświaty” polemizujący z postulatami dyrekcji i organizacji partyjnej Zespołu Studiów Nauczycielskich o przekazanie bazy lokalowej Zespołu Szkół Weterynaryjnych właśnie im, czyli Zespołowi Studiów Nauczycielskich.

W celu kolejnego (i ostatecznego) zbadania możliwości uwzględnienia tego wniosku wojewoda łomżyński powołał specjalny zespół w składzie: Jerzy Karaszewski (zastępca

dyrektora Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa UW), Marek Humeńczuk (wiceprezydent), Bolesław Podobiński (wicekurator Oświaty i Wychowania), Fabian Gosiewski (kierownik Oddziału Oświaty Rolniczej przy Wydziale Rolnictwa), Wiesław Blaszkowski (dyrektor Zespołu Szkół Weterynaryjnych), Mirosław Moraczewski (dyrektor Zespołu Studiów Nauczycielskich) oraz sekretarze POP obydwu szkół: Halina Kowalska i Jan Sawicki. Ponadto w spotkaniu wzięli udział: Marian Dobkowski, wicedyrektor Departamentu Nauki i Oświaty Rolniczej Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, któremu towarzyszyli dwaj specjaliści: Bolesław Pokrzywa i Zbigniew Konecki.

W podpisaniu przez Komisję protokołu stwierdzono m.in., iż baza lokalowa Zespołu Szkół Weterynaryjnych w Łomży jest w pełni wykorzystywana i nie ma absolutnie możliwości usytuowania tam Zespołu Szkół Nauczycielskich. Należy wprowadzić ograniczyć nabór do ZSW uczniów z terenu woj. łomżyńskiego, lecz jest pełna gwarancja, że dla siedemdziesięciu absolwentów co roku będą zapewnione miejsca pracy w 13 województwach, z których rekrutują się uczniowie szkoły.

(D.W.)

prawo klienta

W odpowiedzi na dwie notatki prasowe („Spiecia”, „Kontakty” nr 2/84 i „Kontakty «Kontaktów»”, numer 9/84) dotyczące sprzedaży złej jakości węgla przez Skład Opałowy. Zarząd GS „SCh” w Łomży uprzejmie wyjaśnia:

Pod koniec ubiegłego roku klientka nabyła węgiel „orzecz I” w ilości 1000 kg. w gat. II.

Węgiel ten otrzymaliśmy z kopalni w gat. I w cenie 2000 złotych za tonę. Z powodu przekroczenia procentowej zawartości kamienia węgiel został przeklasyfikowany na gat. II w cenie 1700 złotych za tonę, w którym — zgodnie z normą — dopuszczalne zanieczyszczenie kamieniem może być do 7 proc. Prze-

ceniony węgiel został odpowiednio oznakowany (w sposób widoczny dla klientów) i sprzedawany po obniżonej cenie tj. po 1700 złotych.

Po upływie jednego miesiąca od zakupu zainteresowana interweniowała w Składzie Opałowym odnośnie złej jakości nabytego węgla. Po zbadaniu reklamacji przez kierownictwo Składu nie można było jednoznacznie określić pochodzenia kamienia w badanym opale. W tym przypadku zaproponowano zakup — dodatkowo — jednej tony węgla, na co klientka wyraziła zgodę.

Jednocześnie wyjaśniamy, że reklamację węgla możemy uwzględnić wyłącznie w momencie zakupu w Składzie Opałowym. W innym przypadku reklamacje nie mogą być uwzględnione, ponieważ niemożliwe jest ustalenie źródła pochodzenia kamienia.

W celu poprawy obsługi nabywców węgla kierownicy Składu zostali zobowiązani do poprawnej i właściwej informacji klientów korzystających z naszych usług.

Inż. MAREK JANKIEWICZ
wiceprezes ds. obrotu rolnego
Gminnej Spółdzielni „SCh”
w Łomży

przysłonek na żądanie

Udzielając odpowiedzi na list ob. Ireny Szleszyńskiej skierowany do redakcji tygodnika („Kontakty” nr 13/84), dotyczący nie zabierania pasażerów z miasta Stawiski, Dyrekcja Oddziału Krajowej Państwowej Komunikacji Samochodowej w Łomży informuje:

Obsługa autobusów wykonujących kurs z Łomży do Augustowa o godzinie 14.00 została zobowiązana do zatrzymywania się na przystanku PKS w Stawiskach i zabierania podróżnych posiadających bilety miesięczne na ten kurs.

Wykonanie polecenia kontrolowane będzie przez nasze służby rewizorskie i eksploatacyjne.

W przypadku stwierdzenia nieprawidłowości w stosunku do winnych stosować będziemy surowe wnioski służbowe.

Dyrekcja Oddziału przeprasza zainteresowanych za dotychczasowe nieprawidłowości.

Mgr inż. WŁODZIMIERZ LACH
zastępca dyrektora
ds. eksploatacji

sposób na glazurę

W nawiązaniu do notatki prasowej („Spiecia”, „Kontakty” nr 45/83) dotyczącej sprzedaży glazury przez Gminną Spółdzielnię w Nowogrodzie, po zbadaniu powyższej sprawy informujemy:

GS Nowogród sprowadził — poza przydziałem, bezpośrednio z zakładu produkcyjnego w Opczynie — 487 metrów kwadratowych glazury pozaklasowej na remonty swoich sklepów i adaptację budynku z przeznaczeniem na wytwórnice cukierków. Glazurę odebrano (własnym transportem) w dniu 21.04.83 r.

Na potrzeby własne Zarząd wykorzystał 275 metrów kwadratowych, natomiast 212 — przekazał do dyspozycji naczelników gmin: Miastkowo — 92 metry kwadratowe, Nowogród — 120 metrów.

Decyzją WZIR-u z dnia 4.11.1983 roku GS Nowogród otrzymał przydział glazury z dostaw w IV kwartale 1983 roku w ilości 384 metrów kwadratowych, w tym: gmina Miastkowo — 159 metrów, gmina Nowogród — 141 i gmina Zbójna — 84.

Przydzieloną glazurę zgłoszono do podziału przez naczelników gmin, którzy na całość dostarczyli imienne listy.

Sprzedaży dokonano przez faktury zgodne z otrzymanymi wykazami.

Zarówno w listach przydziału, jak i w fakturach, nie stwierdzono zakupu glazury przez wiceprezesa GS-u.

Inż. BOLESŁAW KONECKO
dyrektor Zakładu
Zaopatrzenia Rolnictwa
WZSR „SCh” w Łomży

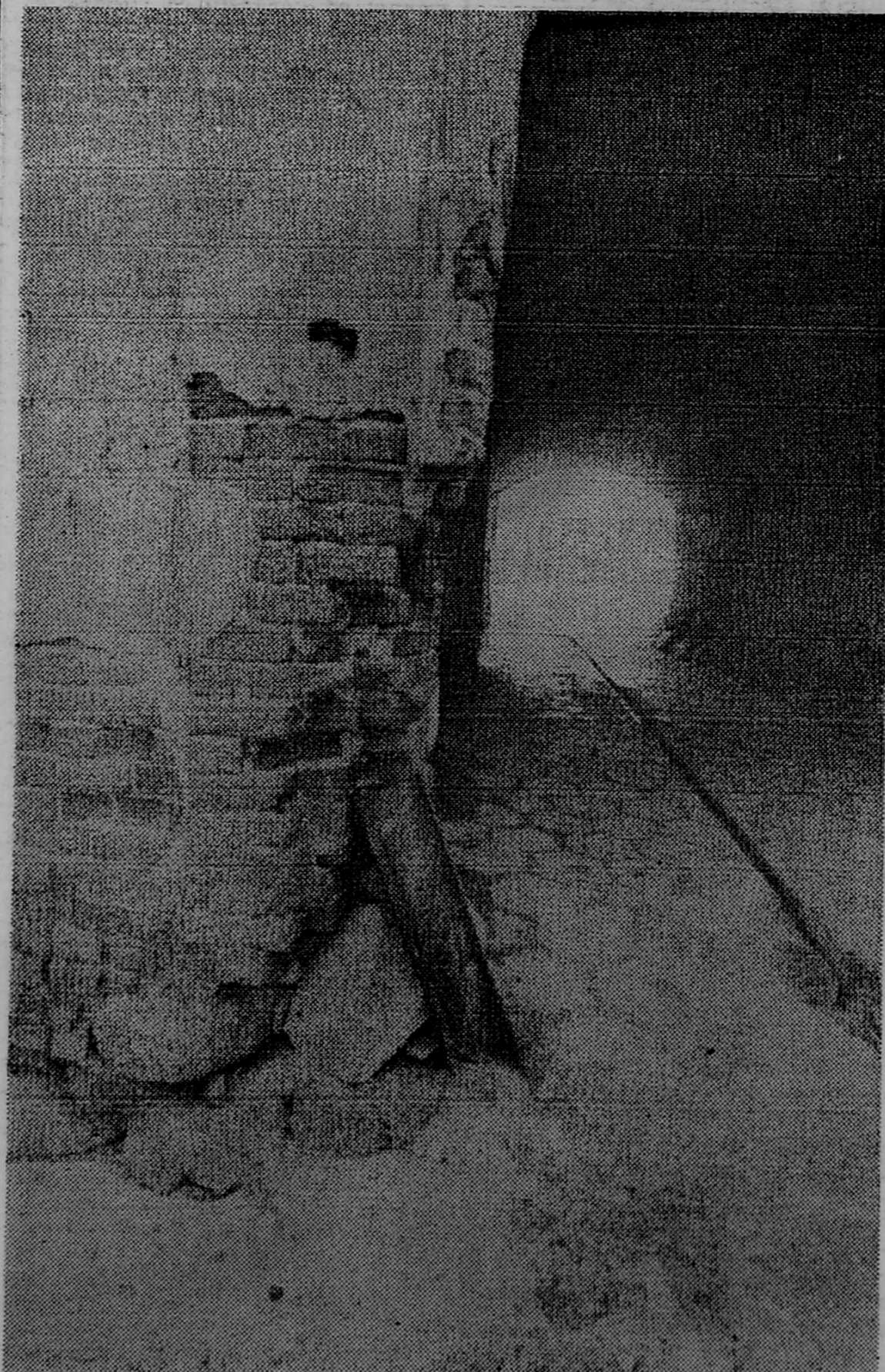
kosztowne usterki

W odpowiedzi na skargę ob. Kazimierza Rainko dotyczącą reklamacji kompletu mebli „Dana” oraz „Mewa”, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Łomży uprzejmie informuje, że powołało rzeczoznawcę celem ustalenia stopnia obniżenia jakości kompletu „Dana” produkcji rumuńskiej, ponieważ ob. Rainko zażądał 50 proc. bonifikaty. Rzeczoznawca stwierdził, że komplet „Dana” posiada wartość niższą o 24 proc., o czym ob. Rainko został poinformowany w rozmowie telefonicznej. Również wystawiona została nota księgowa upoważniająca do odbioru gotówki w sklepie meblowym, czego do chwili obecnej klient nie uczynił — nie podając powodów, mimo wcześniejszego wyrażenia zgody na tę formę załatwienia reklamacji. Ocena rzeczoznawcy jest decyzją ostateczną, od której nie przysługuje odwołanie.

Komplet „Mewa-3” — za zgodą ob. Rainko — został przeceniony o 10 proc. Również za jego zgodą producent dostał elementy celem dokonania wymiany. Ponadto osobiste kontakty klienta z nami upoważniały nas do domniemywania, iż wszelkie kwestie sporne zostały ostatecznie wyjaśnione, a reklamacja załatwiona.

Serdecznie przepraszamy, że odpowiedź na skargę została udzielona tak późno. Więcej takie przypadki nie będą miały miejsca.

Mgr inż. TERESA JONAK
i zastępca dyrektora
WPHW w Łomży



Szesnaście zgłoszeń do trzydziestu — melduje przez okienko portierni Państwowego Ośrodka Maszynowego w Łomży Mikołaj Borawski. Obok, na placu, dwadzieścia osiem traktorów przywiezionych wcześniej. Stąd systematycznie wędrują do nowej, niepełni jeszcze wykończonej, hali. — Temu brakuje półoski — wskazuje ursusa 360 inżynier Leszek Przybyłek. — Temu ogumienia. Przywieziony został prawie na tacze. Wymieniliśmy silnik, przednie zawieszenie z kołami blok.

W starej hali monterzy, Jan Gąsewski i Kazimierz Sychowicz, regulują mechanizmy wyciągowe ciężkiego samochodowego żurawia. W bocznej „nawie”, mechanik Piątek przystępuje do przeglądu nowej skody.

Za ścianą Antoni Jaszczurowski z Motyki niecierpliwie czeka na wałek do rozrzutnika obornika. Stary przywiózł o dziesiątej. Kazali przyjechać przed czternastą. Właśnie toczą ostatnie frezy.

— Zapłaciłem aż dwa tysiące sto, ale nigdzie bym tego nie dostał — mówi.

Z rogu warsztatu rzuca się w oczy potężna obrabiarka.

— Znaleźliśmy ją na złomie w Gliwicach — mówi dyrektor Grygo. — Jedyna obrabiarka w Łomżyńskim, a może nie tylko, na której można toczyć kołosa do metra sześćdziesięciu centymetrów średnicy. Rocznik 1900.

Rzut oka po dziedzińcu: z lewej Ośrodek Szkoleniowy z hotelem i stołówką; przy starej hali — przebudowywana gruntownie kotłownia; na centralnym placu kilkanaście ciężkich żurawi, w głębi — potężne bizony.

Przez plac wyjeżdża do hal co roku robota wartości około stu sześćdziesięciu pięciu milionów złotych.

— Gadkę o kaktusie — wspomina inżynier Grygo — palnął w 1967 roku dyrektor Zjednoczenia na inaugurację. „Tu mi wyrośnie, mówił, jak wy wyjdziecie na zero”.

Wyszli na plus z ponad stu tysiącami. W tym roku liczą na prawie siedem i pół miliona. Zysk niby niski, ale nie sztuka skoczyć z cenami za remonty, a potem szukać klienta. Zresztą cyfry w złotych, zwłaszcza dzisiejszych, specjalnie wyobraźni nie podbechtują. Co innego cztery tysiące napraw rocznie sześciuset najróżniejszych maszyn i urządzeń, od żurawi i traktorów po parniki elektryczne i proste młocarnie. Można jeszcze dodać: jeden ciągnik to kilka tysięcy części zamiennych. Można dorzucić: kilkadziesiąt przeglądów gwarancyjnych i rejestracyjnych rocznie, produkcja — skonstruowane we własnych warsztatach — wyorywacza do buraków, podstaw pod wyłączniki wysokiego napięcia dla warszawskiego „Zwaru”, mieszadeł do wapna dla białostockiego „Spomaszu”, prototypu kopaczki zbierającej ziemniaki.

— Nie wolno robić jednej rzeczy — twierdzi dyrektor — bo można się na niej przejechać.

A takie ciągoty były. Wymóżdżone bynajmniej nie w Łomży.

— Dziś nawet mnie trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno plan zagospodarowania hali musiał być zatwierdzony przez Zjednoczenie.

Zjednoczenie wymyśliło: w nowej hali traktory będzie się naprawiać systemem taśmowym. W Zjednoczeniu musiał siedzieć tegi znawca, skoro nie kazał budować dwudziestu sześciu taśm, mimo iż tyle typów traktorów przemierza polskie pola. W Łomży oparli się wówczas twarżo. Utworzyli stanowiska uniwersalne. Za karę plan zagospodarowania zatwierdzić musieli sobie sami. I otrzymali kolejną wizję innego fachmana z Warszawy: „Tu musi, wiesz, być automatyzacja; wysuwają się czujniki, automaty, rozkręcają, montują. Stąd się, wiesz, popatrz na monitor. Jest taki POM na Dolnym Śląsku”.

— Gdy wracałem stamtąd po trzech dniach — przypomina sobie dyrektor — prosiłem ludzi, którzy ze mną byli, aby nie opowiadali, co tam zobaczyliśmy: smród, bród, kamera „zdejmuje” lampy na suficie. W kwartale sklecali pięćdziesiąt traktorów.

Teraz nasuwa mu się pytanie: dlaczego POM-y generalnie nigdy nie umoczyły tyłków, jak choćby SKR-y? I dochodzi do wniosku: bo przez tyle lat oparły się reorganizacjom. Jak się robi w ponad sześciuset

**MIKOŁAJ
NAWRA**

O A Z A

K A K T U S Ó W

maszynach, prowadzi szkolenia fachowców dla całej Polski, łapie za naprawy planz przydrożnych i każdy inny drobiaz, na którym można zyskać, trzeba dziś robić cielece oczy nie tyle do klienta, co do tych, którzy mogą dać łożysko, śrubkę, stal, elektrody, silniki, liny, smary i setki innych rzeczy; czyli do ponad czterdziestu firm w Polsce.

Władysław Grzymała paraduje dziś na roboczo: kurtka z czegoś podobnego do skóry, jasna koszulka, spodnie lekko podmięte. Dyrektor Grygo przekonuje jednak, że to pierwszy elegant zakładu. Władysław Grzymała jest szefem zaopatrzenia i po latach wypracował sobie własną metodę: — Nigdy nie wypuściłbym się w Polskę bez maszynki do golenia, nieostrzyżony, bez zapasowej koszuli i odprasowanych spodni. Dobrze jest też się wyspać, wyglądać świeżo, tryskać humorem i być wszędzie pierwszym. Królewna fakturzystka nie jest jeszcze zdenerwowana ani nie spieszy się na herbatkę. Więc: „witam serdecznie”, „przepraszam”, „dziękuję” plus elegancki wygląd robią swoje. Bo w tej branży osiemdziesiąt procent to kobiety.

Zona pana Władysława ma mu czasami za źle to pedantyczne pakowanie walizeczki: „Gdzie ty się w końcu wybierasz — pyta — na bal?”

Na tych „balach” Władysław Grzymała potrafi wiele wykukać i przytargać do Łomży.

— Czasami jak chomik — puentuje dyrektor.

Do kukania w „Agromach” znacznie lepszy jest jednak Jan Niebrzydowski. Ma tam układy nie do przebiccia nawet przez elegancję swojego szefa. Choć ten posiada jeszcze jeden, jak na zaopatrzeniowca, niepodważalny atut: dyplom AWF-u.

— Zdrowie, kondycja w podróży i refleks przydają się tu tak samo, jak w sporcie — twierdzi.

Grzymała może być modelowym wzorcem awansu: w 1971 roku zaczął jako pracownik magazynu; tu skończył zaocznie technikum ekonomiczne, potem studia. Dziś jest ma-

gistrem, szefem zaopatrzenia. Wraz z dwoma kolegami musi się niewąsko spręzać, by stu dziewięćdziesięciu ludzi nie musiało czekać na robotę. Podyrektor Grygo zarabia około dwudziestu jeden tysięcy. Mechanicy warsztatowi wyciągają znacznie więcej. I nie z powodu tej różnicy dyrektor nie może o systemie płac powiedzieć dobrego słowa. Wystarczy zresztą popatrzeć na listę; pracownik warsztatowy: płaca — 4502, premia — 450, dodatek mieszkaniowy — 400, dodatek węglowy — 417, staż — 626, urlop — 650, szkolenie uczniów — 45, zasiłek chorobowy — 9416, rekompensata — 1560, zasiłek rodzinny — 12 600 złotych. W sumie — przeszło 30 000.

— I tu jest pies pogrzebany — mówi Fabian Kozikowski, kierownik działu ekonomiczno-pracowniczego. — Ta struktura: pięćdziesiąt albo więcej procent udziału w zarobkach zasiłków, dodatków, deputatów i Bóg wie czego jeszcze, stoi na ekonomicznej głowie. Nikt nie powinien mieć mniej, ale powinien te trzydzieści czy nawet więcej tysięcy zarobić.

Na razie w POM-ie przeszli na uproszczenie zasad premiowania i modyfikację przestarzałych norm. Sprawa jest prosta: na taką i taką operację mechanik ma trzy godziny. Zrobi w dwie — płacę mu za trzy; grzebie się cztery — nikt mu za tę godzinę grosza nie da; jeśli o trzydzieści procent przekroczy normę dniówki, otrzyma dodatkowo dziesięć procent premii; gdy nie puści buba — dostanie drugie dziesięć za jakość.

— Chodziło również o to, by każdy wiedział, ile dziś zarobił i za co.

I chyba wie. Od momentu wewnętrznej modyfikacji systemu płac wydajność wzrosła prawie o trzydzieści procent.

Wcześniej niż płacom, bo jakies dwa i pół roku temu, administracja Ośrodka przyjrzała się dokładnie... administracji i doszła do wniosku, że jest jej za dużo. I — rzecz niespotykana — zmniejszyła się sama o dwanaście osób.

— Odbyło się to bez bólu — zapewnia kierownictwo — bez łapu-capu, wyrzucania. Odszedł drugi zastępca dyrektora, okazało się, że jeden wystarczy. Wyjechał ktoś do Ameryki, etacik zlikwidował się sam. I tak dalej. Wystarczyło podzielić między tych, którzy zostali, pracę i pieniądze. W dziale ekonomiczno-pracowniczym urzędowało osiem osób. Teraz jest pięć. Muszą wydajniej pracować, ale więcej zarobią; co nieco zostanie również w kieszeni zakładu. I obie strony mają się po tej operacji zupełnie dobrze.

— Na czym dziś można zarobić — myśli głośno dyrektor i szef od ekonomii.

Na remontach maszyn — wiadomo.

Na częściach im nieprzydatnych, dlatego otworzyli sklep.

Na szkoleniu fachowców gwarancyjnych.

Na hotelu, w części wydzierżawionym szkolnictwu.

Na sprzedaży jarzębiny, która różnie wokół zakładu.

Na zawartości szamba, którą wywozi z Łomży ich beczkowóz.

Na kwiatkach, które sadziła im Zielen Miejska za całkiem niezłe pieniądze; zbili skrzynki i już różnie własna rozsada, posadzą ją sobie sami.

Zarobić można także na unikaniu konfliktów z klientem. Nawet jeśli nie do końca ma rację, niech lepiej chwali po wszystkich odpustach, niż miałby kłąć i wypisywać skargi. Sam zysk w końcu to też nie wszystko.

Zacznij skrupulatniej przeliczać złotówki i ani się spostrzeżesz, jak inne sprawy wymkną się z ręki — mówi dyrektor. Widzi to, gdy pomyśli, na przykład, o sporcie. POM brylował ongiś w przeróżnych turniejach — nie tylko w resortowym pionie. Dziś zostało po nim trzysta dyplomów i kilkadziesiąt pucharów. Całe „zawody” to przejażdżka autokarem na grzyby.

Miał ongiś Ośrodek własny zespół muzyczny. Zostało pianino, na którym pobrzdaka czasami dziecko jakiegos pracownika. I po muzyce.

Było kiedyś dobre koło fotograficzne. Leży gdzieś jeszcze jakaś kamera, jakiś aparat.

— Jest co robić — pada dziwna konkluzja na temat powodzenia. — Dlatego na niemożność czasu u nas nie ma.

Fot. GABOR LÜRINCZY



penetracja



więcej nie ma? Czy może ona wyjść ze swoimi przedsięwzięciami ponad to, co dostanie z kieszeni państwowej?

WANDA KUROWSKA-KOWALEWSKA: — Pan Rozbicki powiedział przed chwilą, że będziemy dysponować funduszem, którego na wszystko nam nie wystarczy. Zatem nasza rola ograniczy się tylko do ciągłego wybierania spośród problemów tych najpilniejszych?

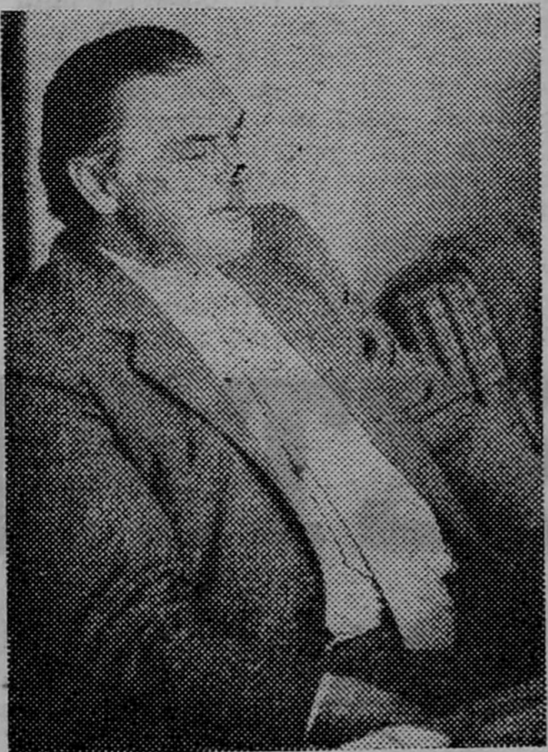
STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Rzekniesz, o kampanii mówi się i pisze bardzo pięknie: ordynacja u maćnia, demokratyzuje; na program mają wpływ kandydaci na radnych i ich wyborcy. Na zebraniach przedwyborczych w gminie Zbójna mieszkańcy postulują wodociągi dla wsi, szkoły, żłobki. I zaczyna się kociołkować, bo nagle słyszą, że mogą żądać tylko tyle, na ile starczy pieniędzy. A tych środków w kieszeni gminy jest niewiele. Mnożą się więc argumenty: po cholere apele, jeśli tak mało możemy zmienić?

WANDA KUROWSKA-KOWALEWSKA: — My, radni, możemy się dogadać wokół takiego programu, który byłby najpilniejszy, najpotrzebniejszy, i nade wszystko możliwy do wykonania.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Czy jest już w gminie taki program?

WANDA KUROWSKA-KOWALEWSKA: — Powstaje. Opracowywane są założenia, z którymi udamy się na zebrania przedwyborcze i przekonsultujemy z wyborcami. Weale nie zamierzam deklarować więcej, niż sama waga. Ze względu na charakter mojej pracy szczególnie zajmę się tym (lub dołączę do tych, którzy już cokolwiek dla tej sprawy robią), by wreszcie stary człowiek ze wsi, samotny i przez bliskich zapomniany, mógł dożywać ostatnich dni w godziwym kącie, bo na to zasłużył jako żywiciel społeczeństwa przez całe lata ciężkiej pracy. Będę również zabiegać o każdy żłobek, o każde przedszkole i szkołę w gminie Zbójna. Jak będziemy pomnażać środki, tego jeszcze nie wiem. W ogóle myślę, że ta kadencja będzie bardzo trudna.

GRZEGORZ FLEJTER: — I radnym też zostać będzie trudniej niż drzewiej bywało. Każdy kandydat musi powalczyć z kontrkandydatami.



MIECZYSLAW ROZBICKI: — Wierzę, że wygrają młodzi, ponieważ starsi radni (co też wielokrotnie podkreślano w publikacjach) byli bezradni, a jeśli tak, to muszą odejść. Powinien zatem dojść do głosu trzydziestolatek, niespokojny duch. Taki radny jest teraz bardziej potrzebny.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Byłoby to precedens, ponieważ młodzież w wielu wypadkach przegapiła wybory do władz w partiach politycznych, do samorządów i związków zawodowych.

RYSZARD LUBECKI: — We wsi młody nadal nie ma przebiccia. Kiedy wysunięto kandydaturę młodego, to zaraz ludzie pytali: „Czemu on, a nie dyrektor szkoły? Przecież dyrektor jest ważniejszy”. W małych miejscowościach nadal liczy się funkcja i wiek.

WITOLD WINCENCIAK: — Musimy mieć świadomość, że czerwcowe wybory będą niezwykle demokratyczne. Jest to pokłosie dyskusji z lat poprzednich, by wybory nie były tylko aktem głosowania. Kandydat przechodzi kilka selekcji: etap wyłaniania konsultacji i zebrania przedwyborczych w różnych śro-

wiskach. O tym, czy zostanie radnym, decydują tylko wyborcy.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Pan Lubecki podawał przykład młodego człowieka, który przegrał w pierwszym starciu ze starszym kandydatem; ja znam przypadek odmienny. Mirek Wszeborowski, 20-letni rolnik ze wsi Wścieklice, pozyskał już nawet swoich pracowników i pełni funkcję sołtysa. Kandyduje też na radnego WRN-u. Znany jest nawet w gminie dzięki upartej walce ze Spółdzielnią Kółek Rolniczych o niesłusznie (jego zdaniem) zagarnięty Fundusz Rozwoju Rolnictwa, czyli kwotę około półtora miliona złotych.

GRZEGORZ FLEJTER: — Tacy ludzie są na wagę złota i oni przede wszystkim powinni zasiadać w radach. Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego udziela im poparcia i będzie ich prezentował na zebraniach przedwyborczych. Na Radzie Wojewódzkiej PRON-u zgłosiliśmy na radnego WRN-u kandydaturę Kazimierza Bagińskiego, przewodniczącego Zarządu Miejsko-Gminnego ZMW w Zambrowie, inicjatora budowy Domu Rolnika-Seniora w Dębniakach, bohatera wielokrotnych publikacji na łamach „Kontaktów”. Wyłaniając go na kandydata patrzyliśmy przede wszystkim na jego osobowość, siłę przebiccia, pasję społecznikowskie.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Obok Bagińskiego padały z sali propozycje kandydatów z taką argumentacją: „Nadaje się, bo już jest radnym trzecią (czwartą) kadencję”. Boję się o jedno: czy za nowymi w naszym ustawodawstwie paragrafami nadąży świadomość społeczna? W Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego usłyszałem, że Zarząd Zakładowy niemal oddelegował na kandydatów do Miejsko-Gminnej Rady Narodowej i Wojewódzkiej Rady Narodowej robotnika i renciście; uargumentował to tak, że w wojewódzkim parlamencie powinien zasiąść ktoś z klasy robotniczej, a w gminnym — człowiek mający dużo wolnego czasu.

GRZEGORZ FLEJTER: — A ja znam inny przypadek. W pewnym zakładzie zrobiono wybory na kandydata do rady. Dotychczas podawano wyborcom kawę na ławę. Teraz jakoś ciężko przyzwyczaić się do tego, iż tę ławę muszą sami sobie zrobić, a kawę wypijają taką, jakiej nawarzą. W bieżących wyborach opinia publiczna zyskuje nowego sprzymierzeńca. Jest nim Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, czynnik wywierający wpływ na aktywizację obustronną: może na niego liczyć władza oraz załogi zakładów pracy, mieszkańcy miast i wsi. Będzie to też zapewne sojusznik przyszłych rad narodowych. Sprawa następną: program muszą opracować kandydaci na radnych wspólnie ze swymi wyborcami. Do dyskusji przedstawione są tylko jego założenia. Co uchwalą, to będą potem wypełniać. Rada Krajowa Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego podjęła apel o pomoc szkole. Skala tego problemu jest olbrzymia. W kraju trzeba wybudować 8700 obiektów: żłobków, przedszkoli, szkół. Rada Wojewódzka poparła ten apel i będziemy zabiegać o to, by jego treści znalazły się w lokalnych programach wyborczych.

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Znajdą się na pewno, jeśli i wyborcy, i wybierani będą świadomi broni, jaką im dano do ręki w postaci ordynacji wyborczej, ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego oraz deklaracji wyborczej PRON.

RYSZARD LUBECKI: — Ładnie to brzmi. W Kolnie zaproponowali nam, iż ZSMP może zgłosić nie więcej niż 20 procent swoich kandydatów. Takie ograniczenia zniechęcają.

GRZEGORZ FLEJTER: — Przecież młodzi mogą zgłaszać swoich kandydatów przez PZPR, związki zawodowe, samorządy i PRON.

WANDA KUROWSKA-KOWALEWSKA: — Ale nie chodzi przecież tylko o sam wiek. Radnymi powinni zostać ludzie najaktywniejsi, najbardziej rozmówczani w pracy społecznikowskiej, wrażliwi na krzywdę społeczną, niedowład administracji.

RYSZARD LUBECKI: — Tylko że takich rodzynek, jak Bagiński i Wszeborowski, mamy dwóch na tysiąc wsi, a rywalizacja przedwyborcza jest bardzo silna. Wierzę jednak, że wygrają najlepsi.

Fot. STANISŁAW HOROSZ

spiećcia



Na ulicy Staffa w Łomży koro-
dują od jesieni ub. r. trzy samo-
chody należące do jednego wła-
ściciela. Wszystkie są prawie kom-
pletnie zdezelowane, za to dwa
mają markę, że palce lizać: austin
i mercedes. „Snoś nawet tonąc —
podpatrzył prześmiewca — chwytą
się brzytwy Made in USA”.

★

Do rozdziału maszyn rolniczych
Urząd Gminy w Jedwabnem nie
poprosił ani jednego przedsta-
wiciela samorządu wiejskiego, ani so-
łtysa, ani radnego z Konieck. Ko-
misja rozdzieliła maszyny między
siebie, nie przyznając nawet obie-
canego — po interwencji doradcy
wiceprezesa Rady Ministrów —
ciągnika młodemu rolnikowi z tej
wsi. „Wybudowaliśmy w czynie
społecznym drogę relacji Jedwab-
ne-Burzyn. Wybudowaliśmy świet-
licę...” — pisze w liście sołtys —
„I zapomina się o ludziach czynu”.
Agdzie jest fabryka traktorów?
Kto wybuduje kuźnię lemieszów?
Gdzie ma się produkować pługi?
Stomiany w was, konieccy, agieś
siedzi!

★

Mieszkańcy ulicy Zdrojowej w
Łomży są co kilka dni uczestni-
kami Wielkiej — nawet rozdziera-
jącej — Improwizacji. Wykonuje
ją dla nich bezpłatnie sąsiadka.
Doskonale więc wiedzą już, jak
prowadzi się jej cała rodzina, kto
jest czyim synem. Artyzm wystę-
pów psuje jednak nieco monoto-
nia powtarzających się przerywni-
ków. A my głowiliśmy się, dla-
czego złapana w pobliskiej Narwi
ryba rzuciła nam w twarz: Ty s...

★

Wiosna nieodmiennie przynosi
takie oto kwiatki: ktoś w pocie
czoła ubija paliki, sadzi drzewka,
podlewa je wieczorem i potem
może bezsilnie patrzeć sobie na
potamane kikuty. Rygorystycznie
przestrzegany wandalizmem po-
pisują się od lat zwłaszcza mło-
dzieńcy z ulicy Turlejskiego w
Łomży. Ktoś musi oberwać — aby
ktoś mógł spać?

★

Młoda ekspedientka sklepu obu-
wicznego w Zbójnej wyjawia, iż
ogładanych butów — mimo naj-
szczerzych chęci — nie może
sprzedać, gdyż jej zmienniczka za-
brała po jednym z każdej pary do
przymiarki. Cosa Nostra — licząc
tylko po stopach — przy Cosa
Zbójna to doprawdy mniej niż
zero.

★

Z listu obywatela Zambrowa do
wojewody łomżyńskiego: „Chcę
choć trochę przyczynić się do
zmniejszenia w naszym województ-
wie spekulacji proponuję zmienić
kierowniczkę sklepu (...)”. Dalej
uważa, że dobrze byłoby zmienić
również niektórych prezesów i dy-
rektorów, po czym wymienia pra-
wie wszystkie firmy i instytucje
w mieście, dodając na koniec, iż
w pierwszym rzędzie, jego zda-
niem, trzeba splawić samego na-
czelnika. A taki Loth uważał, że
nawet w Sodomie znajdzie dzie-
sięciu sprawiedliwych.



LISTY Z ZA RZĘKI

Jak pewien złośliwy profesor gimnazjalny nazywał maturzystów. Tych zaś, którzy w porze kwitnienia kasztanów byli bezrobotni, bo nie dopuszczani do matury — zwal: łysymi kasztankami. Było to dawno temu (nawet ja znam owego pedagoga jedynie z opowieści), w czasach — kiedy gimnazjaliści, szczególnie trzecio- i czwartoklasiści, byli traktowani prawie jak dorośli. Sami zresztą z wielu takich praw (do rzeczy i przyjemności zakazanych, a jakże!) korzystali półlegalnie w swoim środowisku, a całkiem nie po kryjomu poza najbliższym otoczeniem.

Wydłużenie nauczania podstawowego do lat ośmiu sytuację wszelkiego rodzaju licealistów przybliżyło nieco do tej sprzed połowy wieku. W pewnych sprawach, jak choćby prawa wyborczego, są oni całkiem legalnie zupełnie dorośli. W innych, dla przykładu wymienię jedynie posiadanie przyjaciół lub przyjaciółek (w sensie całkowicie nieplatonicznym), własnego przedsiębiorstwa lub należenia do partii politycznych — mają uprawnienia naturalne, a nawet formalne, ale obyczaj szkolny czyni je częściowo niedostępnymi. Co wcale nie znaczy, że maturzyści nie sympatyzują — aż do posiadania legitymacji — z jakąś ideologią lub nie prowadzą gospodarstwa rolnego czy boutique'u, o tzw. życiu seksualnym nie wspominam wobec stwierdzenia przez badaczy, że prawie połowa młodzieży inicjuje je jeszcze w podstawówce. I tylko w klasówkach, kółkach zainteresowań, udziałach w szkolnych fetach, no i w zdobywaniu matury ci ludzie wieku przejściowego pozostają uczniami.

I to właśnie najlepiej się pamięta, przez całe życie niekiedy. Dowodu na to całkiem świeżo doświadczyłem nawsunnie przyglądając się pochodowi 1-majowemu. Kiedy maszerowało liceum łomżyńskie, jakaś stojąca obok mnie młoda kobieta szepnęła do siebie: — O, idzie ta przeklętnica! — I choć znał się ją jedynie z pochodu, dołączyła kierując to do mnie: — Ależ ta mnie wałkowała, co za jęzda. U niej trzeba było umieć.

Gdybyż takie słowa można było powiedzieć o... całej naszej szkole, czy choćby o szkolnictwie ponadpodstawowym, mniej obawiałbym się o skutki (a także o przyczyny), pleniącego się ostatnio ćwierkania w prasie, radiu i telewizji o młodzieży. To zapewne wynik nacisków Rady do spraw Młodzieży, która jest (szczególnie jej powielenia pozacentralne) jednym z bardziej enigmatycznych twórców,

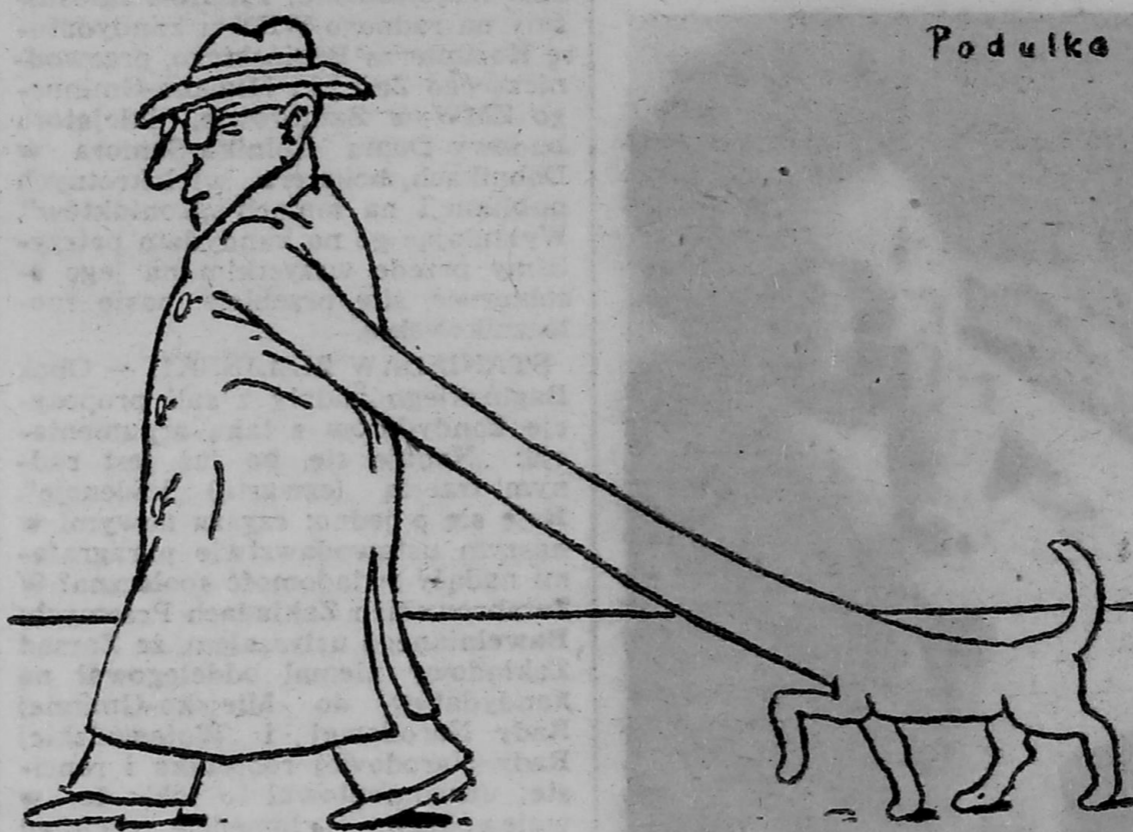
się z troski. Innymi obserwacjami chciałbym podzielić się w tym „naturalnym” liście, mianowicie zastanowić się, jacy będą maturzyści za kilka lat, czyli ci, którzy kończą obecnie szkoły podstawowe, a więc dzieci szczęśliwej kalkulatorki pogrudniowej.

W kwietniu miałem okazję odwiedzić wiele szkół i spotkać się z uczniami siódmymi i ósmymi klas. Pierwszym wrażeniem jest, budzą-

cowej zaiste szkoły dla dzieci, których jedynym obowiązkiem, ba — marzeniem jest uczenie się, uczenie i jeszcze raz uczenie. Oczywiście jest, że w opisanych warunkach, jeśli dodamy do tego środowiska wyłażącej dopiero z biedy i wciąż zafobanej cywilizacyjnie wsi, nie może dziwić brak umiejętności nawiązywania zwykłej rozmowy, a najprostsze pytanie — wybiegające poza „wbiją w głowę” kruszynę wia-

KASZTANKI

HENRYK GAŁA



jakie zdarzyło mi się obserwować. A to chyba stąd, że nie wszyscy jej członkowie są już kompletnie siwowie. Gdyby tak było, ożywiłoby ją być może pewne podobieństwo do klasycznego układu — Zuzanna i starcy. Ale dość tego naigrwania

ce najgorsze skojarzenia, zróżnicowanie warunków nauczania. Łączne klasy w drewnianych, czasem przedwojennych jeszcze budynkach, stary, zużyty sprzęt, nauczyciele bez pedagogicznego przysposobienia, braki podręczników i program... pała-

domości — budzi popłoch i chichoty. Kilka kilometrów dalej funkcjonuje wspaniała szkoła, a o kilkanaście — wykonują całkiem niezłe swoją edukacyjną produkcję miejskie, szkolne mrowiska. Pozostaje więc tylko poczucie krzywdzącej dysproporcji, szkoły z epoki Kuberskiego (bo utopia zbiorczych szkół doprowadziła do zaniedbania remontów i budowy małych placówek) wypuszczają w świat ludzi już na starcie gorzej wyposażonych, takich, którzy muszą przegrać z innymi w walce o jakość swojego życia.

Na horyzoncie groźba kolejnego, tym razem przedłużonego o dzieci kryzysu, wyżu demograficznego. Musimy zbudować szkoły (a także miejsca pracy, my — a nie jacyś oni — musimy na te szkoły odłożyć z własnych pieniędzy, cementowni, hut itd., choćbyśmy — nie wiem jak — nie lubili tego czy innego wojewody, naczelnika. I sprawy tej nie możemy zostawić urzędnikom, ale winniśmy sami wziąć się także za organizowanie przygotowań do tej wielkiej budowy.

Mam nadzieję, że przy okazji znikną szkoły-widma, zaprzeczające nie tylko socjalizmowi, ale nawet poczciwej demokratycznej równości. Aby nie zdarzył się kiedyś rok, w którym więcej będzie łysych kasztanków niż maturzystów.

SWIAT SUPRAPARCJALNY

SUPRAPARCJALNY?

Czytelnicy zapewne zauważyli... albo i nie zauważyli, że w tym miejscu kiedyś był felieton. Oczywiście, żywy tygodnik to nie miejsce na nagrobki. Krótko mówiąc: umarł „Kwiatek do kontusza” niech żyje „Świat supraparcjalny”, co w przekładzie na język „osobowy” znaczy: umarł Stryjec, niech żyje profesor Jasio Wszechstronny (!!!).

Z przydługiej preambuły Czytelnicy zdolali wyciągnąć jedyny (i prawidłowy) wniosek, że Wszechstronny i Stryjec stanowią właściwie jedną i tę samą osobę. Stryjec zrezygnował z zabawy w heraldykę. Z powodu WAiF-u (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe). WAiF wydaje reprints, czyli przedruki, a ludzie wydają na to już nie takie ciężkie pieniądze.

Ukazał się już reprint herbarza Paprockiego, podobno wydawca przygotowuje Nasieckiego. Może zainteresuje się tzw. herbarzem londyńskim przygotowanym przez spółkę polonijną historyków (firmy polonijne są ciągle w modzie)...

Rynek heraldyczny wydaje się nasycony, przesycony lub bliski przesyty — podobnie jak czytelnicy tygodnika „Rzeczywistość”. Natomiast „świat supraparcjalny” ciągle istnieje. Niekiedy wzbudza śmiech, innym razem grymas niesmaku. Nie szukajcie w słownikach, encyklopediach czy innych dobrach wymiennych, co znaczy przymiotnik „supraparcjalny”. Takiego słowa nie znajdziecie. A jednak jest! Eppur si esiste. Oto wytłumaczenie.

Dawno, dawno temu, gdy Profesor nie był jeszcze profesorem, a początkującym studentem, musiał uczyć zając na różnego rodzaju zajęciach. Oczywiście, w takim gronie osób przymuszonych nie brakło różnego typu kawalarzy. Jak wiadomo ka-

walarze są to ludzie, którzy robią z radością to, co inni wykonują z obowiązku, konieczności lub nawyku.

Jeden z kawalarzy uczęszczających na seminarium Mistrza X postanowił sponstrować naukową wartość języka, którym posługiwali się młodzi i starsi przedstawiciele uniwersyteckiej humanistyki. W tym celu zaczął planowo, świadomie i perfidnie stosować w swoich wypowiedziach neologizm „supraparcjalny”. Naturalnie, coś było supraparcjalne, a coś nie... Z wyjątkiem tego słówka wszystkie rozważania i wypowiedzi kawalarza cechowała rzetelna naukowość i głębia myśli. Pierwsze konteksty, w jakich wypowiedział epitet „supraparcjalny” wyglądały na sensowne. Pojawiła się, więc, i „supraparcjalność” — cecha przystępująca bytom supraparcjalnym. Początkowo kawalarz był odosobniony. Ale nikt nie pytał, nikt niczego nie kwestionował...

Czy to przyjemnie uchodzić za nieuka lub durnia? Kawalarz był mądrym człowiekiem i dobrym znawcą natury ludzkiej. Po pewnym czasie inni też zaczęli przebąkiwać o „supraparcjalności”. Wkrótce samo słowo i jego pochodne — derywaty, jak mawiano na seminarium mistrza X — na trwałe weszły do słownictwa całej grupy. Wtedy kawalarz postanowił odkryć karty; kiedy ktoś coś wspomniał o supraparcjalności, bezczelnie spytał:

— A co to znaczy? Przecież takie go pojęcia nie ma. Tyle anegdota zaczerpnięta z życia.

Słuszne wnioski wyciągnie z niej ten, kto pomyśli, że „Świat supraparcjalny” to rubryka poświęcona tropieniu głupstw i głupstewek. Przede wszystkim cudzych. Sami przecież jesteśmy mądrzy, wnikliwi i wolni od wszelkich przywar.



Rys. MARKA POLAŃSKIEGO



Jest to wystawa jakich wiele, a jednak — kiedy poświęci jej trochę czasu i obejrzy kilkakrotnie — spoza tłoku dokumentów, sztandarów i kolorowych plansz wylonią się fragmenty fresku, którym było życie Ziemi Łomżyńskiej przez czterdzieści minionych lat. Czas gasnącej wojny, pamiątki

żołnierskie — medale, odznaczenia, fotografie, podziękowania (marszałek Stalin dziękuje kapralowi Tadeuszowi Baczewskiemu za udział w zdobyciu Kołobrzegu, a gen. Rola-Zymierski — Lucjanowi Ołowskiemu za forsowanie Odry) — to już dzisiaj muzealia, takie jak czapka Legionów z orzełkiem czy czarna biżuteria kobiet po Powstaniu

Styczniowym. Aż wierzyć się nie chce, że ludzie, którzy zdobyli te odznaczenia, często żyją jeszcze wśród nas.

Ciekawe są również dokumenty z pierwszych miesięcy wolności, utrwalające budzenie się narodu do życia politycznego — protokoły założycielskich lub pierwszych zebrań PPR-u, PPS-u, SD czy orga-

nizacji kombatanckich, odezwy, afisze, plakaty z tego czasu.

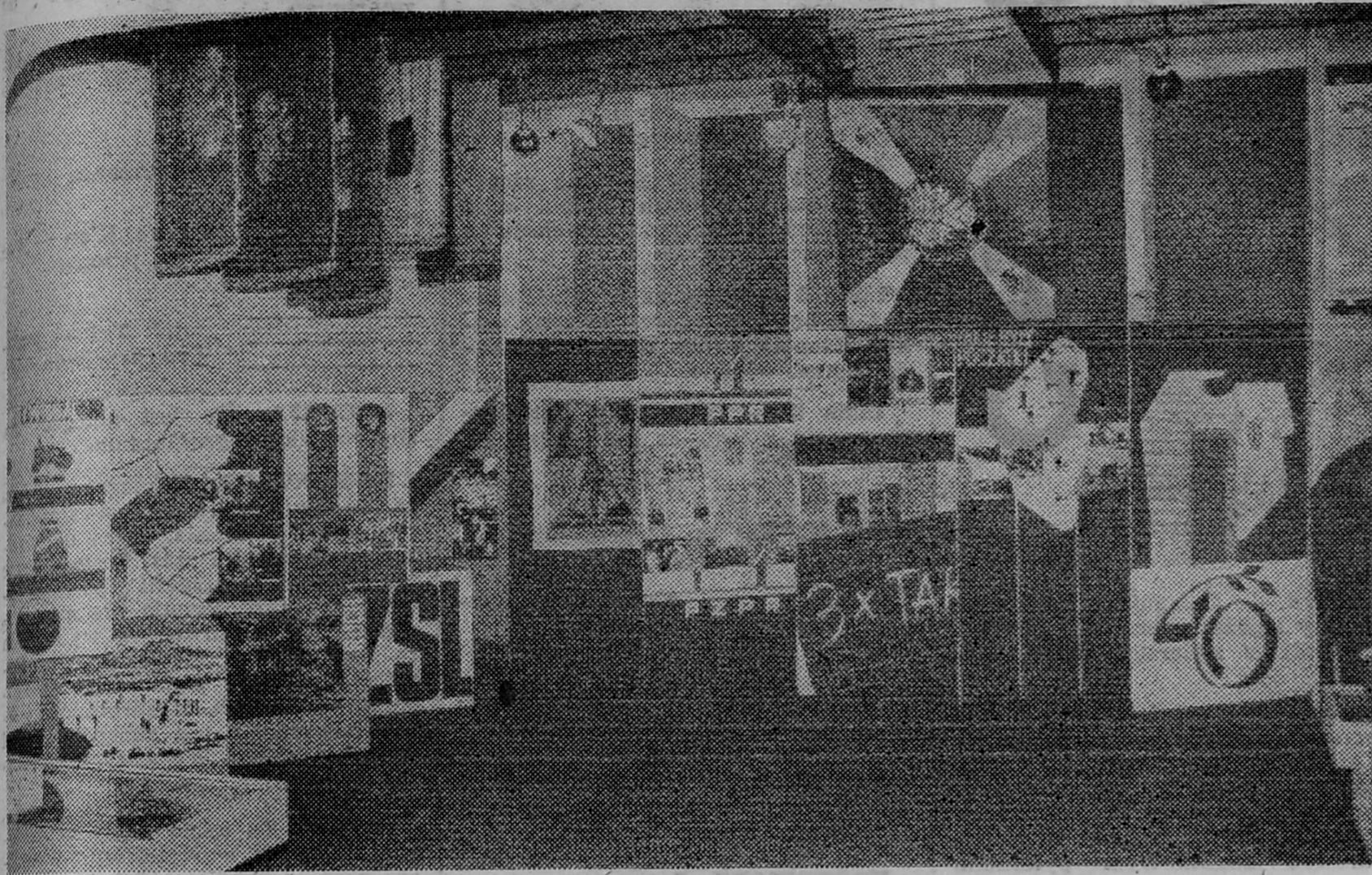
Potem już tylko sygnały — odbudowy miast, ruszania gospodarstw chłopskich; pierwszy zakład przemysłowy — Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Im bliżej w czasie, tym gęściej zapisywać trzeba to, co przybywa w gospodarstwie dawnych powiatów. Zjawiają się odznaczenia, dyplomy i medale za produkcję.

Aby nie wypisywać wielu danych, zwrócę uwagę na jedną z wielu plansz, która pokazuje liczbę inwestycji produkcyjnych w poszczególnych dziesięcioleciach. Warto przyjrzeć się jej dokładnie i pomyśleć, jakie tu było życie w latach pięćdziesiątych, w których powstały tylko „Bawełna” i „Cepelia” w Zambrowie, a co przyniosły naszemu życiu lata siedemdziesiąte, kiedy zbudowaliśmy kilka dziesiątek nowych zakładów pracy.

Szczupłość powierzchni wystawowej (zagęszczona ekspozycja do granic czytelności) naszego Muzeum pozwoliła na pokazanie zaledwie fragmentów opowieści o czterdziestolecium. Ma to tę dobrą stronę, że pobudza wyobraźnię; ma i mankamenty. Jednym z nich jest fakt, że twórcy scenariusza wystawy musieli wśród ograniczeń — wybrać jakiś rodzaj doboru treści. Zdecydowali się na dokumentowanie pozytywne. Wychodzi z tego obraz nieco sztywny i trochę sztuczny. A przecież momentów trudnych, dramatycznych, nie brakowało w naszych najnowszych dziejach, i choć pamięć ludzka skłonna jest do zacierania doświadczeń przykrych, ich pouczająca wartość powinna być o trzymać miejsce na tej wystawie.

JAN BALDRIAN
Fot. GABOR LÖRINCZY

ŁOMŻYŃSKIE CZTERDZIESTOLECIE



prezentacje

POCZUĆ BLUESA

To już nie przypadek! Wpierw jak ognista raca wystrzelił, za sprawą Ryszarda „Skiby” — Skibińskiego, blues w Białym Stoku (by, niestety, przedwcześnie zgasnąć), później w Suwałkach powstał „Browar Blues Band”, a tu raptem 12-taktowiec dotarł nad Narwę. Stało się to za sprawą grupy „Browar Łomża”. Do niedawna kraina polskiego bluesa był czarny Śląsk. Teraz „muzyka smutku” poszerzyła swoje terytorium o region północno-wschodni. A że nie na tym pięknym świecie nie dzieje się bez przyczyny, toteż po pierwszym zaskoczeniu, jakim był dla mnie debiutancki koncert „Browar Łomża”, pojąłem, że klimat miasta musiał przede wszystkim wywołać bluesa. Nim jednak stary, poczciwy Mr. Blues pojawił się w Łomży, w pierwej trzej młodzi licealiści, a było to do dobrych kilka lat temu, grali wspólnie big-beat, wygrywając łomżyńskie „gitariady”. Po maturze ich drogi rozeszły się: Jacek Cholewicki (perkusja) rozpoczął studia prawnicze w Warszawie, Janusz Ramatowski (gitara basowa) zdał na SGPiS, a Wojtek Kozłowski (gitara solowa) przeistoczył się w piekarza. Przed rokiem wrócił do Łomży Janusz, coraz częściej pojawiał się w mieście Jacek i... zaczęli grać bluesa. Dołączył do nich Piotr Wysocki (gitara), uprzednio hard-rockowiec. Muzyczni samoucy.

Zaistnieli po raz pierwszy na początku kwietnia br. i to z tupetem, bo ogłaszając po koncercie blues session. Zakrawało to na kpinę. Porywać się na „dżem” w mieście, które nie posiada tradycji muzycznych tego typu ani odpowiedniego środowiska muzycznego („Big Band” zamierza jeszcze 10 lat próbować, nim zacznie grać jazz, więc nie biorę go pod uwagę). Okazało się jednak, że jest w Łomży więcej ludzi, którzy potrafią trzymać gitarę a nawet na niej zagrać, toteż

muzykowanie trwało do późnej nocy.

Dom Środowisk Twórczych, pod którego egidą odbyły się narodziny bluesa w Łomży, za co mu chwala nie zasypiał gruszek w popiele i 1 maja br. powtórzył całą imprezę: Salka DŚT, która — gdy gości 5 osób, to już sukces — tym razem była przepełniona. „Browar” grał głównie utwory Johna Mayalla oraz Erica Claptona — mistrzów białego bluesa. Jak sami przyznają, są to dopiero muzyczne „kalki”. Stąd uszywnienie, ściśle trzymanie się oryginału bez próby własnej interpretacji. Jest już „materia”, ale brakuje jeszcze „duszy”. Brakuje niepowtarzalnego bluesowego „kółysania”. Najmocniejszym punktem zespołu jest gitarzysta solowy — Wojtek Kozłowski. Zadziwia precyzyjną grą przypominającą gitarę B. B. Kinga. „Browarniaczy” grają ostro i dynamicznie. Jedno jest już pewne: „Browar Łomża” robi dobrą reklamę łomżyńskiemu fullowi.

Sympatyczne w tym całym bluesowaniu jest to, że grupa nie myśli o karierze profesjonalnej, chce natomiast grać na poziomie profesjonalnym, dla własnej przyjemności i dla tych, którzy czują w Łomży bluesa. Wszystko wskazuje na to, że w życiu muzycznym miasta dokonał się znaczący przełom. Spontanicznie powstał pomysł zorganizowania w Łomży ogólnopolskiej imprezy muzycznej „Blues dla Guinnessa”, podczas której biło by rekord w długości grania bluesa non-stop (z przymrużeniem oka). Mam nadzieję, że pomysłodawca z DŚT nie pozwoli swemu pomysłowi zastępnąć w popiele. Czuj bluesa!

(ajs)

PS. Powstała równoległa grupa „Bonar Klub”, grająca w stylu „listy przebojów”, jest jeszcze bardzo surowa, ale kto wie, praca czyni cuda.

W tym roku jak nigdy dotychczas, muzyka rockowa znad Wisły odnosi sukcesy w krajach Europy Zachodniej. Stało się to za sprawą obrotnych managerów z wytwórni „Maga Organisation”, którzy — nie szczędząc pieniędzy i sił — postanowili wyłansować czołowe polskie zespoły w krajach, gdzie o polskim rocku słyzało się tyle, co u nas o uprawie pomarańczy.

Największe zainteresowanie na ostatnim MIDEM wzbudził zespół „TSA”. Wkrótce potem ukazała się w Londynie ich pierwsza płyta, która jest dobrze sprzedawana i cieszy się popularnością wśród wielbicieli muzyki spod znaku heavy-metal. Grupą zainteresowały się radio, prasa i telewizja brytyjska. Niebawem na to spotkanie wyjedzie wokalista „TSA” — Marek Piekarczyk. Być może polski rock, i w ogóle polska muzyka młodzieżowa, przebiegnie się nareszcie na tak trudno dostępny rynek zachodni.

Tymczasem „TSA” po wcześniejszych przetasowaniach personalnych próbuje z nowymi muzykami. Pod koniec maja ukaże się kolejny album „Heavy Metal World” utrzymany w podobnym co poprzednią płytę stylu, chociaż znajduje się na nim również muzyka nastrojowa.

Przypomnę, że zespół powstał jesienią 1980 roku i początkowo był kwartetem instrumentalnym, grającym bluesa. Na II Ogólnopolskim Przeglądzie Muzyki Młodej Generacji w Jarocinie zdobyli jedyne trofeum imprezy — Nagrodę Publiczności. Swoją sukces zawdzięczała przede wszystkim zmianie stylu. Specjalizacja w tzw. „ciężkim rocku” przysporzyła im wielu fanów i wzbudziła zainteresowanie krytyków muzycznych i managerów.

Do dziś „TSA” jest jedynym polskim zespołem, który konsekwentnie gra muzykę prostą i dynamiczną. Jeśli grupy nie nawiedzą kolejne zmiany personalne, myślę, że jeszcze nie raz o niej usłyszymy.

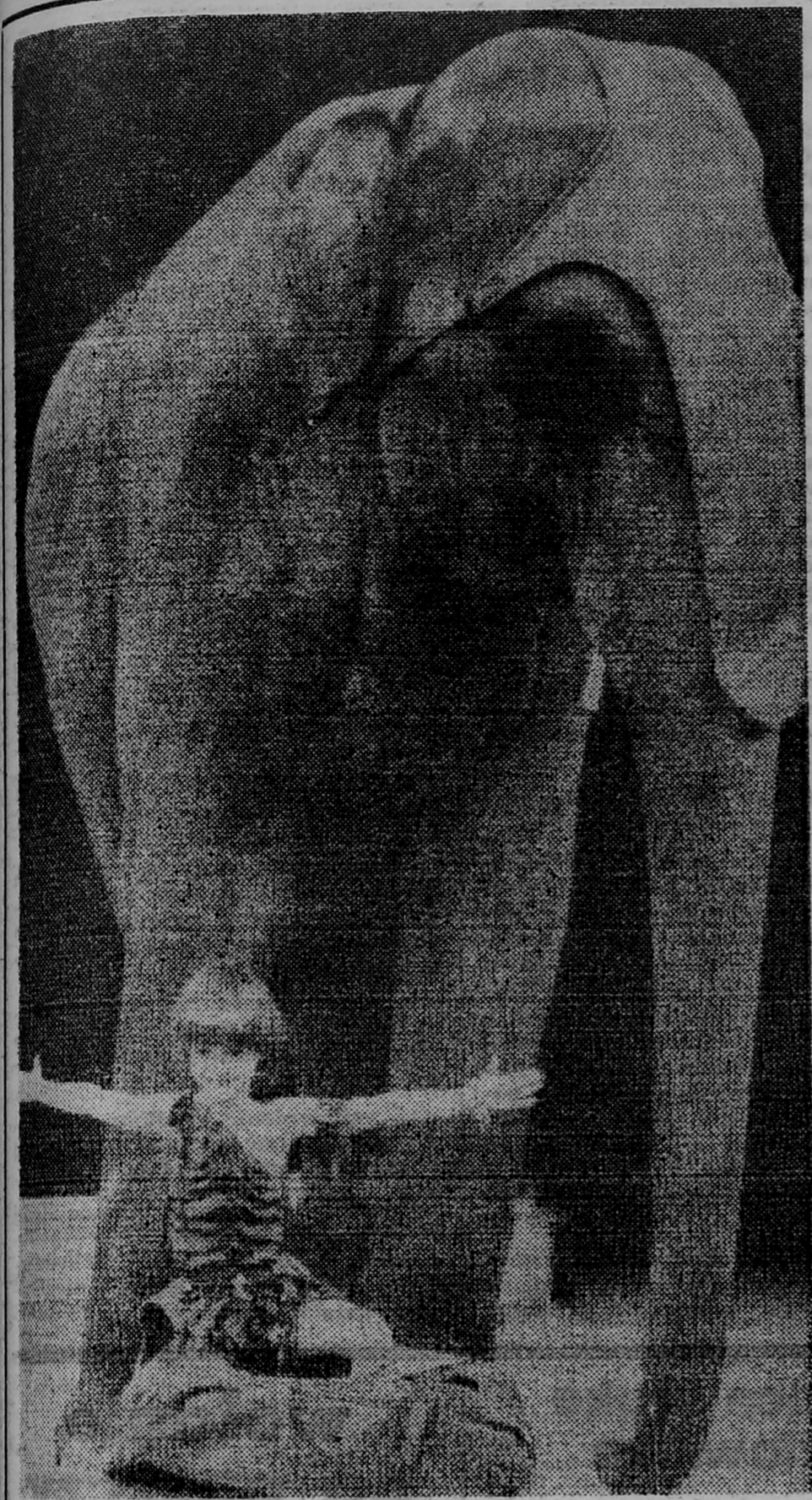
ATAK NA LONDYN



REDAGUJE KRZYSZTOF KURIANIK

fan-club





podzięką dla miłośniernych

Rabinowicz zmarł nagle na ulicy. Ciało przeniesiono do gminy żydowskiej. Powstał problem, jak zawiadomić nieszczęsną wdowę. Ustalono, że trzeba to zrobić w sposób dyplomatyczny. Jeden z przyjaciół podjął się tej delikatnej misji. Udał się do domu zmarłego, zapukał do drzwi. Otworzyła mu kobieta.

misja

— Czy tu mieszka wdowa Rabinowicz? — zapytał przyjaciel zmarłego.

— Tak, nazywam się Rabinowicz, mieszkam tu, ale nie jestem wdową — odpowiedziała kobieta.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się przyjaciel — a może się założyliśmy?

TANIE DANIE

przyprawy do sałaty

■ Łyżkę oliwy lub oleju, łyżkę słabego octu lub kwasu cytrynowego mieszamy dokładnie, dodając troszkę soli, cukru i odrobinę pieprzu. Polewamy sałatę ostrożnie, by nie pognieść kruchych listków, mieszamy i obficie posypujemy siekanym koperkiem lub szczypiorkiem.

■ Dwie łyżki śmietanki słodkiej rozmieszczamy z odrobiną cukru pudru (nie przesłodzić), dodac 2-3 — posiekane niezbyt drobno — orzechy włoskie. Ugotowane na twardo tótko utrzc w garnuszku z odrobiną soli i cukru pudru. Dodac łyżeczkę octu lub kwasu cytrynowego (kwassek należy rozpuścić w gorącej wodzie, po czym ją ostudzić), rozprowadzić dwiema łyżkami kwaśnej śmietany, polać sałatę i posypać posiekaniem białkiem, nie zapominając o koperku, szczypiorku lub pietruszce. W czasie ucierania tótko można dodać troszeczkę musztardy.

odchudzanie BALONEM

Balon w żołądku jako nowa metoda odchudzania został wypróbowany z powodzeniem w kopenhaskim szpitalu Hvidovre. Nadmuchiwany przez specjalną rurkę — dawał pacjentowi uczucie pełnej sytości, zniechęcającej do przyjmowania pokarmu.

Wielu osobom udało się dzięki temu prostemu zabiegowi stracić w krótkim czasie blisko 20 kilogramów.

Po zakończeniu kuracji wypuszcza się powietrze, a balon (normalną drogą) opuszcza przewód pokarmowy.

Do jednej z klinik w Chicago przywieziono 7-letniego chłopczyka o wzroście 4-letniego dziecka. Po przeprowadzeniu badań stwierdzono, że organizm małego pacjenta nie wytwarza hormonu wzrostowego. Klinika, która akurat w tym czasie nie dysponowała odpowiednimi zastrzykami hormonalnymi, postanowiła odślać dziecko do domu. Uwagę lekarzy zwrócił jednak fakt, że chłopiec ma na rękach ślady poparzeń. Wyznał on, że rodzice, za kradzieżą tabletki czekolady zmusili go do trzymania rąk nad płomieniem piecyka gazowego. Wobec tego dziecko zatrzymano w lecznicy pod opieką troskliwej pielęgniarki.

sadyści

Zanim klinice dostarczono potrzebne zastrzyki hormonalne, chłopiec zaczął szybko rosnać. Dla lekarzy był to sygnał, że na zahamowanie wzrostu mają wpływ drastyczne metody wychowawcze. Przebadano warunki życia wielu dzieci karłowatego wzrostu lub rosnących bardzo powoli. Wyniki tych badań były jednoznaczne: organizm dzieci torturowanych fizycznie lub moralnie nie wytwarza dostatecznej ilości hormonu wzrostowego. Gdy owe dzieci izolowano od środowisk domowych, mali pacjenci zaczęli szybko rosnać.

Kiedy pajak wracał z pogrzebu swego krewnego, rozpadło się niemilosierdzie. Deszcz spływał kroplami do ust pajaka i ziębił jego nagie ciało. Po chwili spotkał słońca i poprosił go, żeby uciął kawałek ucha i dał mu, by mógł się nim owinać. Obiecał, że ten kawałek zaraz mu odda. Słoń się zgodził. Pajak wziął ucho i poszedł z nim do domu. Ale w domu pani pajakowa zrobiła z ucha słońca zupe, którą zjadła cała rodzina.

W kilka dni później słoń przysłał posłańca po ucho, bo muchy dokuczaly mu bardzo. Ale ten wrócił z pustymi rękami. Wówczas słoń zapowiedział się sam z wizytą. Pajak umówił się z żoną i dziećmi, że schowają się do tabakierki. Gdy słoń przyszedł i porozmawiał chwilę z pajakiem, ten powiedział do jednego ze swych dzieci: „Przynies trochę tabaki dla dziadka słońca”. Wysłał tak jedno po drugim, w końcu sam wszedł do tabakierki i zamknął ją mocno. Słoń czekał bardzo długo, aż się zmęczył, potem chodził po całym domu i szukał czegoś, co by mógł wziąć zamiast ucha. Niczego nie znalazł oprócz tabakierki, więc wsadził ją do kierzni i udał się do domu.

W drodze pajak i jego dzieci zaczęły śpiewać pieśń pogrzebową: „O, biada, biada, mama słońca umarła”. Słoń nie wiedział, skąd pochodzi lament; powiedział: „Przecież zostawiłem mamę zdrową i już miałaby umrzeć?” Pajak i jego rodzina zawodzili jeszcze głośniej, więc słoń wziął tabakierkę i rzucił nią w kamień tak, że się otworzyła. Pajak z rodziną natychmiast uciekli i schowali się pod kamieniem. Słoń się rozgniewał. Postać dzika i hienę, by ich złapał. Pajak miał jednak ostry nóż, który każdą muchę mógł przekroić na siedem kawałków. Kiedy dzik wystawił swój ryj, uciął mu jego koniec; do dziś dzik ma płaski ryj. Hiena, jak to zobaczyła, zaczęła zawodzić: „Patrzcie, pajak uciął ryj dzikowi”; do tej pory krzyczy to samo. Wszystkie inne zwierzęta tak się przstraszyły, że wolały nie iść do pajaka.

A pajak — z obawy przed słońcem — ciągle jeszcze mieszka pod kamieniami. Ludzie natomiast, którzy tę historię zwierzęta opowiedzieli, dodają: „Milosierdni nie zarabiają na żadne podziękowanie”.

ROBÓTKI NA DRUTACH

czur ukośny

Nabrać na druty potrzebną liczbę oczek (podzielna przez 10 plus 2 oczka brzegowe). Rząd 1: pierwsze oczko zdjąć z drutu bez przerobienia. Powtarzać do końca rzędu: 1 narzut, 1 oczko zgubione (2 oczka razem sposobem przerutem), 2 prawych. Ostatnie przerobić na lewo. Rząd 2 i pozostałe parzyste: wszystkie oczka lewo. Rząd 3: pierwsze zdjąć z drutu bez przerabiania. Powtarzać do końca rzędu — 1 oczko prawe, 1 narzut, 1 zgubione (2 oczka razem z przerutem), 7 oczek prawych. Ostatnie przerobić na lewo. Rząd 4: oczko brzegowe zdjąć z drutu bez przerobienia. Powtarzać do końca rzędu — 2 oczka prawe i zgubione (2 oczka razem z przerutem), 6 prawych. Ostatnie oczko przerobić na lewo. Rząd 5: oczko brzegowe zdjąć z drutu bez przerobienia. Powtarzać do końca rzędu — 3 oczka prawe, 1 narzut, 1 zgubione (2 oczka razem z przerutem), 5 prawych. Ostatnie oczko przerobić na lewo. Rząd 6: oczko brzegowe zdjąć bez przerobienia.



nia. Powtarzać do końca rzędu — 1 oczko prawych, 2 oczka razem przerobić na prawo pod górne nitki, 1 narzut. Ostatnie przerobić na lewo. Rząd 11: oczko brzegowe zdjąć bez przerobienia. Powtarzać do końca rzędu — 7 oczek prawych, 1 oczka razem pod górną nitką, 1 narzut, 1 prawe. Ostatnie przerobić na lewo. Rząd 13: oczko brzegowe zdjąć bez przerobienia. Powtarzać do końca rzędu — 6 oczek prawych, 2 oczka przerobić na prawo pod górne nitki, 2 prawe. Ostatnie przerobić na lewo. Rząd 15: oczko brzegowe zdjąć bez przerobienia. Powtarzać do końca rzędu — 5 oczek prawych, 2 przerobić na prawo pod górne nitki, 3 prawe. Ostatnie przerobić na lewo.

1		2	12	5	23	4		5	19	6
			7						17	
4		7			2	22				
8	3								9	14
			10		11		12	11		6
13		10	9				14			
				15	16		17		1	
18		8	19						20	
	15		21				20			18
							16			
22										
			13							

Po rozwiązaniu krzyżówki litery a krótkie ponumerowane w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 23, utworzą przysłowie perakie.

POZIOMO: 1) klasa robotnicza, 7) włókno syntetyczne, 9) dzieło Corneille'a 9) tancerka, 10) przegródka posłoma, dzieląca budynek na kondygnacje, 13) do tucia, 14) „bycze” bóstwo, 15) naczynie gliniane z uchem, 16) redziej stoika na kompoty, 17) diemy, 20) Czarna Woda, 21) działko do mlotania wody, 22) Izabela, piararka polska (1746-1835), autorka książki dla ludu „Piełgrzym w Dobromiu”.

PIONOWO: 1) inna nazwa ścigacza, 2) deszcz, śnieg, 3) państwo z piramidami, 6) francuski fizyk, astronom i matematyk (1781-1853), 8) państwo arabskie, 9) odmiana parodii, 10) wisłowy u Czechowa, 11) wycinanie drzew w lesie, 12) śwrot grzecko-słowiański, 16) zamieszanie, chaos, 17) kwiat jesienny, 18) narzuta na łóżko, 20) kojarzy się z Sawą.

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesła pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

Stragam pod trzymastką



horoskop szkocki

(urodzeni między 17—23 maja)

Dostałeś czternastkę, więc nie biegnij z miejsca do sklepu i nie kupuj byle czego, a już zwłaszcza obuwia. W przyszłości pieniądze też Ci się przysdadzą. Złóż je na długoterminowy wkład PKO ze stopą 15 proc. w skali rocznej. Po trzech latach twoja stopa wzrośnie w ten sposób blisko o połowę i do starych trzewików już jej nie wciśniesz. Będziesz miał przynajmniej na sandały.

Szczęśliwy kamień: filozoficzny.

Zupa: rumiankowa (surowiec do nabycia w aptekach na receptę 30 proc.).

Liczba: 3,14 (pi razy oko).

ANKIETA

- Czy czyta Pan(i) „Konszachty”?
— stale, zawsze?
- Czy sądzi Pan(i), że „Konszachty” są:
— bardzo dobre, dobre?
- Które rubryki są najciekawsze?
— Wszystkie, część
- Czy sądzi Pan(i), że Podredaktor „Konszachty” winien za nie otrzymywać honorarium:
— znacznie większe, większe?
- Jak się Panu(i) wiedzie?
— Bardzo dobrze, dobrze?
- Co słychać?

Właściwe odpowiedzi należy podkreślić, miejsca kropkowane wypełnić. Wśród uczestników ankiety rozlosujemy pięć nadzwyczaj cennych nagród:

I — Wydrukowanie nazwiska ankietowanego dużą czcionką w kolorze czerwonym.

II — Ta samą czcionką dużą w kolorze czarnym.

III — Mniejsza czcionką czerwoną.

IV — Mniejszą czcionką czarną.

V — Małą czcionką czarną, czyli tzw. petitem.

Zachęcamy do udziału! Zyczymy powodzenia!

NARESZCIE!

NOWA GAZETA TO JEST TO, Jarmark cudów
podbija świat! Znakomita propozycja

KAZIMIERZ
SIEMENIANKO

powiadam wam

Itak oto, drodzy Czytelnicy, wspólnie doczekaliśmy się już dziesiątego numeru „Konszachty”. Nieprawdopodobne, ale przecież prawdziwe. Spoglądając teraz wstecz, sami nie możemy w to uwierzyć. Jak mogło dojść do tego, gdzie był Nadredaktor, któremu, niestety, podlegamy? Gdzie podziła się jego osławiona czujność, połączona z postawą twórczą a zarazem pryncypialną?

Na te i wiele innych jeszcze pytań będziemy musieli sobie w przyszłości odpowiedzieć, a na razie, póki co, zajmijmy się bieżącymi sprawami, czyli korespondencją, jaka w związku z jubileuszem

napłynęła do naszej podredakcji.

Jest rzeczą całkowicie oczywistą, że cieszą nas wszystkie listy i telegramy pisane do nas przez naszych czytelników, ale bezwzględnie najbardziej lubimy korespondencję anonimową. Jakaż szczerść wieje z tych kreślonych lub lepionych nieraz drżąca ręką wersów, ileż pasji i zaangażowanej prawdy zawierają owe epistoly płodzone cichcem, zwykle o późnej porze wieczornej! I dlatego spośród wielu innych związanych z naszym jubileuszem, drukujemy dzisiaj dwa — szczególnie bliskie naszym sercom, w tym jeden całkowicie i odważnie podpisany.

PODREDAKTOR

Wydrwigrosze!

GAZETA to Niechłubna przytórka kontaktów
szczególny przejaw próchnicy zębów

(to ma słabe nerwy, niech tego lepiej nie czyta!)

GDZIE DO WSZYSTKICH... GDZIE PIEPRZ ROŚNIE

FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

ELEGIA I

Ząb ostatni wypadł z brony
Lemiesz trzasnął na kamieniu
Ciągnik stoi rozkraczony
Dziury w całym ogumieniu

Nie pojedę ja do Gminy
O podatki się wyklócać
Nie posieję oziminy
Muszę chyba wioskę rzucić
Dozorcostwo wezmę w mieście
Będę etat miał państwowy,
ciszę, spokój... aż nareszcie —
— umrę smutny, ale zdrowy.

Poeta ludowy — Izidor Deptuła. Rolnik średniego pokolenia. Ostatnio mieszka w Białymstoku w osiedlu Tysiąclecia. Blok nr 8, klatki schodowe 1—6.

MAŁA ENCYKLOPEDIA WIEDZY Tajemnej

ROBERT POIROT
(16 X 1746 — 19 XII 1768)

Francuz urodzony w Paryżu. Od piątego roku życia, po śmierci rodziców, którzy zmarli w trakcie wielkiej epidemii ospy, nie mając bliższych ani dalszych krewnych wychowywał się na ulicy. Żył z drobnych kradzieży kieszonkowych i z czasem doszedł do takiej perfekcji w tym „zawodzie”, że w wieku lat niespełna piętnastu uzyskał miano najręczniejszego z paryskich złodziei. Wiedziała też o tym policja, która niczego nie mogła mu jednak udowodnić. Poirot kradł bowiem w zadziwiający sposób: nigdy nie zbliżał się do upatrzonej przez siebie ofiary na odległość mniejszą od kilku kroków, a mimo to przedmioty — zwłaszcza złote i srebrne — zmieniały właściciela. Nie wędrowały one jednak do kieszeni Roberta, tylko do któregoś z współpracujących z nim aktualnie wspólników, którzy również nie przebywali w bezpośrednim sąsiedztwie Poirota.

Umarł w więzieniu mając 22 lata, oskarżony o... zdradę stanu.

WYNIJ! ZACHOWAJ! SPRZEDASZ



Podredakcja: — Nasza podredakcyjna wróżka wspinałomyślnie odstąpiła panu, panie Zygmuncie, swój odcinek. A zatem co dalej z testem grafologicznym?

GRAFOLOG: — Wiemy już (mówilem przed tygodniem), ile punktów przynajemy sobie za czytelność napisanego przez nas tekstu. Teraz przyglądamy się uważnie wszystkim literom. Jeśli te — które mają w swojej budowie graficznej zamknięte koła lub o-

wale, a więc: a, b, d, g, o, ó, p — piszemy starannie kółka zamykając, stawiamy sobie następne pięć punktów. Za każdą literę otwartą odejmujemy od pięciu jeden punkt. Takich liter mamy w sumie siedem, więc możemy uzyskać nawet minus dwa punkty.

— I?
— Proszę mi nie przerywać. Miejsca mamy szalenie mało, a chciałbym dzisiaj wyjaśnić do końca chociaż jedną kwestię testu... No więc dalej sumujemy uzyskane punkty za czytelność i tzw. otwartość. Otrzymujemy jakąś tam liczbę bądź cyfrę, którą notujemy sobie na karteczce.

— Zapamiętać nie można?
— Jeszcze słowo i rzucam test! Nie mogę pracować w takich warunkach. Chyba, że dacie mi więcej miejsca.

— Więcej, niestety, nie damy. Możemy jeszcze raz spróbować dogadać się z panią Różą. A teraz musimy już kończyć.

— W takim tempie za pół roku całego testu nie zdążę objaśnić!

bezpiecznik

Coraz powszechniejsze jest zjawisko konstruowania na własną rękę różnego rodzaju sprzętu. Po traktorach przyszedł m.in. kolej na przyczepy campingowe. Domorośli majsterkowicze, także z Łomży, jeżdżą nimi bez dowodu rejestracyjnego tłumacząc się wykretnie, że milicja wymaga potwierdzenia wagi przyczepy, zaś „Polmozbudy” wag nie posiadają. Przychodzą później do redakcji na skargę, że są statymi klientami służby drogowej wzbogacającymi Skarb Państwa. I o to chodzi. Zamiasz szpanować umiejętnościami technicznymi trzeba było poczekać 5 lat w kolejce na normalną przyczepę. Na pocieszenie możemy Wam rzec, obywatele, że napelnianie Skarbu Państwa w dobie kryzysu nikomu ujmę nie przynosi. Spełniacie swój obywatelski obowiązek.

Z ZYSKIEM W ANTYKWARIACIE!



STENOGRAM Z NARADY nr 110 miejsce akcji: sala konferen- cyjna pośred- niego szczebla

PRZEWODNICZĄCY: — Obywatele zebrani! Rozpoczynamy naszą kolejną naradę w temacie...

ZEBRANY I: — Chwileczkę, obywatelu przewodniczący! Według moich wstępnych obliczeń, które dokonałem w trakcie trwania poprzedniej narady, wszystkie tematy odnośnie tematów już nam się wyczerpały.

ZEBRANY II: — Ja nawet powiem więcej! One wyczerpały się wielokrotnie. W granicach od pięciu do czternastu razy, w zależności, oczywiście, od wagi samego tematu.

SLOGAN TYGODNIA

szczęśliwi grosza nie liczą

ZEBRANY III: — Polemiczując z przedmówcą przyznaję mu, oczywiście, rację.

ZEBRANY IV: — Należałoby tylko zapytać, czemu i komu ta racja służy? Bo jeśli wiadomym sprawom i pewnym określonym kręgom, to ja jestem zdecydowanie przeciwny!

ZEBRANY VI: — Tym niemniej międlenie, i to wielokrotne, tych samych tematów do niczego nas nie doprowadzi!

ZEBRANY VII: — Jakże?! Już doprowadziło. Co to, nie widać tego?

PRZEWODNICZĄCY: — Ciszka, obywatele! Zebrani... Już sam początek przebiegu dyskusji wskazuje nie tylko na palącą potrzebę wymiany naszych myśli i doświadczeń, jeszcze częściej niż dotąd. Musimy też wszystko sobie wyjaśnić i nawzajem się przekonywać, bo jeśli w ten sposób podejmiemy do całokształtu sprawy, to myślę, że tematów nigdy nam nie zabraknie!

CIĘŚC ZEBRANYCH (mniej więcej 50 proc.): — Urrra!!!

ZEBRANY I: — Tym niemniej jednak...

PRZEWODNICZĄCY: — O właśnie! Widzę, że macie wątpliwości, obywatelu zebrany. Zatem rozpoczynam naszą kolejną naradę w temacie posiadania wątpliwości przez niektórych naszych obywateli. Myślę, że trzeba zacząć od stwierdzenia, iż...